NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM V NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 1

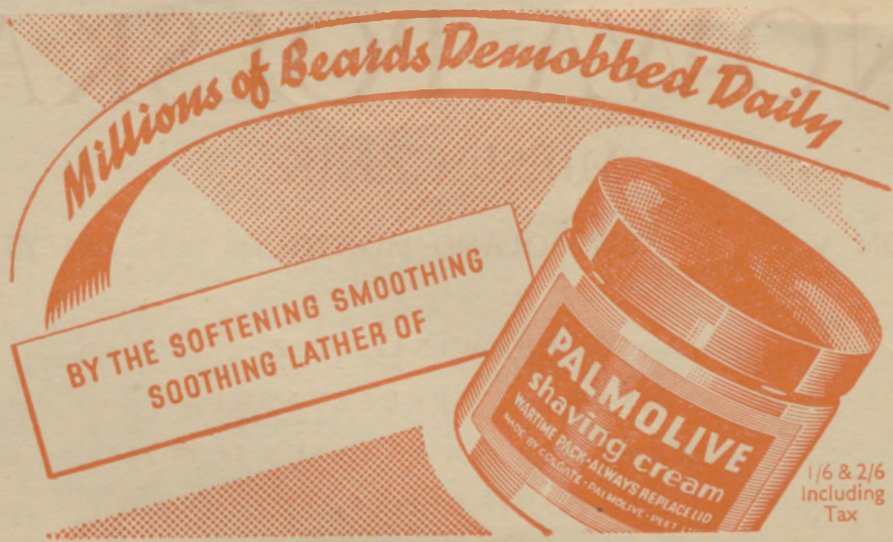
JÓZEF WINIEWICZ
KSAWERY PRUSZYŃSKI
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
ANTONI SŁONIMSKI
JULIAN TUWIM
ZOFIA NAŁKOWSKA
FELIKS TOPOLSKI
KAROL ESTREICHER
STANISŁAW ILEWICZ
HELENA BOGUSZEWSKA
RACHELA AUERBACH
ZOFIA KOSSAK

Z POWODU WSTRZYMANIA przez władze brytyjskie przydziału papieru „Nowa Polska" nie mogła się ukazać w miesiącach: lipcu, sierpniu i wrześniu.

OBECNIE PO PRZYWRÓCENIU licencji papierowej miesięcznik nasz będzie się ukazywać regularnie w dotychczasowych rozmiarach i przy współpracy wszystkich dawnych współpracowników „Nowej Polski" oraz pisarzy z kraju.

Warunki prenumeraty rocznej pozostają niezmienione i wszyscy abonenci, którzy opłacili prenumeratę do końca r.b. automatycznie mają przesunięty termin najbliższej wpłaty o trzy miesiące.

LONDYN
PAŹDZIERNIK
1945



Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne
Kolacje z tańcami
Kuchnia i ciastka domowe
Orkiestra kontynentalna
Melodie polskie

6, *Hanover Str., London, W. 1*
Tel. MAYfair 0826

KOSTIUMY skrojone przez **VANĚK'A**

noszą na sobie cechę mistrzowskiego ujęcia specjalisty kontynentalnego. Świetnie skrojone i uszyte wyłącznie z najlepszych materiałów.

4, WILLIAM STREET
Knightsbridge
London, S. W. 1.,

również w BOURNEMOUTH

POLSKI KUŚNIERZ

dawniej Katowice

LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.
59 Knightsbridge, London S.W.1
Tel.: SLOane 3626

Wykonuje NOWE FUTRA i przeróbki z własnych i powierzonych materiałów.

UWAGA! Wyjątkowa 25%-towa zniżka cen futer gotowych na składzie.

Specjalne udogodnienia dla prowincji.

FUTRA:

POSZUKIWANI

pierwszorzędni specjaliści w przykrawywaniu, wykańczaniu i podszewkowaniu futer. Stałe zatrudnienie, najlepsze wynagrodzenia, praca 5 dni w tygodniu. Poszukiwane również młode dziewczęta dla wyuczenia rzemiosła.

Zgłoszenia przyjmuje:

VIENNA FUR MODELS, 8 Grafton Street, W.1. REGent 4325.

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM V NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 1

LONDYN PAŹDZIERNIK 1945

JÓZEF WINIEWICZ

DOKOŁA NOWEJ GRANICY POLSKO-NIEMIECKIEJ

I.

Trzy wielkie mocarstwa, od których decyzji — dobrych czy złych — zawisł los Europy, i na których ciąży odpowiedzialność za to, co się w polityce międzynarodowej stało lub jeszcze stanie, powzięły w lutym b.r w Jałcie zasadniczą uchwałę co do granic Polski. Przypomnijmy jej tekst:

„Trzej szefowie rządów uważają, że wschodnia granica Polski ma biec linią Curzona, w pewnych okręgach z odchyleniami od pięciu do ośmiu kilometrów na korzyść Polski. Uznają oni, że Polska musi (*must*) otrzymać znaczne (*substantial*) przybytki terytorium na północy i zachodzie. Uważają oni, że nowy Polski Prowizoryczny Rząd Jedności Narodowej powinien być we właściwym trybie zapytany o opinię co do rozmiarów tych przybytków i że ostateczne rozgraniczenie zachodniej granicy Polski powinno potem czekać Konferencji Pokojowej"

Zgodnie z tymi postanowieniami Rząd Polski został zaproszony na Konferencję w Poczdamie w lipcu b. r., na której zapytano go, jaki przybytek terytorialny na zachodzie i północy Polska uważa za konieczny, potrzebny i — niewątpliwie to też miano na uwadze — znaczny. Wynikiem konsultacji Rządu Polskiego i ponownych na ten temat narad Wielkiej Trójki były z kolei terytorialne postanowienia dziewiątego punktu Deklaracji Poczdamskiej, które mówią:

„Trzej szefowie rządu zgadzają się, że do czasu ostatecznego ustalenia zachodniej granicy Polski dawne terytoria niemieckie — na wschód od linii przebiegającej od Bałtyku bezpośrednio na zachód od Świnoujścia a potem wzdłuż Odry aż do zbiegu zachodniej Nisy* i wzdłuż zachodniej Nisy aż do granicy czechosłowackiej, włączając w to tę część Prus Wschodnich, która nie została w zgodzie z porozumieniem osiągniętym na tej konferencji oddana pod administrację Związku Radzieckiego, i włączając w to dawne terytorium Wolnego Miasta Gdańska — że te terytoria będą pod administracją Państwa Polskiego i dla tych celów nie powinny być uważane za część sowieckiej zony okupacyjnej w Niemczech".

Ostateczne, prawne rozgraniczenie nowej granicy polsko-niemieckiej zostało więc i w Jałcie i w Poczdamie odroczone aż do Konferencji Pokojowej. Faktycznie jednak Polska objęła już nowe terytoria. Dlatego ważną jest jeszcze inna klauzula dokumentu poczdamskiego, dotycząca przesiedleń ludności niemieckiej z terenu oddanego Polsce. Art. 13 powiada:

* W dyskusji i dokumentach międzynarodowych nazwą „zachodnia Nisa" określa się teraz rzekę znaną w polskiej geografii jako „Nisa Łużycka", po niemiecku „*Görlitzer Neisse*". Nazwę „wschodnia Nisa" stosuje się teraz dla „Nisy Kładzkiej" albo „Śląskiej", po niemiecku nazywanej „*Glatzer Neisse*". Na Śląsku, poniżej Lignicy, jest jeszcze trzecia Nisa, w nomenklaturze niemieckiej zwana „*Wütende Neisse*".

„Trzy rządy rozważywszy tę sprawę ze wszystkich stron uznają, że transfer do Niemiec ludności niemieckich lub elementu pochodnego, pozostających w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech będzie musiał być podjęty. Są oni zgodni, że transfery takie muszą być przeprowadzone w sposób porządny i humanitarny...

Zgodnie z tym instruują oni swych przedstawicieli w Radzie Kontrolnej, aby zdali jak najszybciej swym rządom sprawozdanie, do jakich rozmiarów takie osoby weszły już do Niemiec z Polski, Czechosłowacji i Węgier, i do podania szacunku czasu oraz kwot, według którego dalsze transfery mogłyby się odbywać, biorąc pod uwagę obecną sytuację Niemiec.

Rząd Czechosłowacki, Polski Rząd Tymczasowy oraz Rada Kontrolna Węgier zostają w tym samym czasie powiadomione o tym, i są proszone zawiesić w międzyczasie dalsze wyrzucanie (*expulsions*) ludzi aż do chwili zbadania przez zainteresowane rządy raportów ich przedstawicieli w Radzie Kontrolnej".

Nawet więc z punktu widzenia zaadministrowania nowych polskich terytoriów zachodnich jesteśmy w naszych posunięciach krępowani. Sprawa zachodniej granicy Polski jest jeszcze ciągle otwarta. Nie jest więc też ze stanowiska polskiego obojętnym, jak w opinii międzynarodowej przebiega dyskusja na te żywotne dla nas tematy.

II.

Dyskusję zaczął Churchill, współautor wszystkich powyższych deklaracji. Otworzył ją krytyką rozmiarów terytorium, które oddano Polsce faktycznie w posiadanie:

„Zawsześmy pragnęli w rządzie koalicyjnym, aby Polska otrzymała sutą kompensatę na Zachodzie wzamian za terytorium odstąpione Rosji na wschód od linii Curzona. Myślę, że tutaj popełniono pomyłkę, przy której Prowizoryczny Rząd Polski był zapalonym partnerem gdyż wyszedł daleko poza wymogi konieczności i słuszności".*

Nowy brytyjski minister spraw zagranicznych Bevin ujawnił Izbie Gmin w parę dni później, co w kołach delegacji brytyjskiej w Poczdamie przyjmowano za „słuszną" koncesję terytorialną dla Polski. Oświadczył on; „że była na to zgoda, przynajmiej drogą dedukcji, iż Polacy powinni przesunąć się ku Odrze i Nisie wschodniej".

W dyskusji zarysowały się więc — jak dotąd — dwie linie granicy polsko-niemieckiej. Pierwsza poczdamska, która biegnie z grubsza wzdłuż Odry — Nisy Łużyckiej, dając Polsce Szczecin. Drugą, która biegnie wzdłuż Nisy Śląskiej i Odry nazwijmy linią Bevina, skoro on ją pierwszy ujawnił. Nie można w tej chwili podejmować dokładnych obliczeń statystycznych, bo zbyt wiele jest niewiadowych co do ściślejszego, geograficznego umiejscowienia obydwu linii. Pierwsza przyznaje jednak Polsce w przybliżeniu 100.000 kilometrów kwadratowych z obszaru dotychczas niemieckiego, druga niecałe 75.000 klm.kw.**

Istotną różnicę między tymi dwiema liniami stanowi cały obszar Śląska po lewym brzegu Odry, rozciągający się między obu Nisami. Wraz z miastem Wrocławiem jest to teren wysoce uprzemysłowiony w gałęzie produkcji Polsce niezbędne. Pod względem rolniczym jest to jedyny obszar naprawdę żyzny z całego terytorium, które bierzemy od Niemiec. Po lewym brzegu Odry na terenie, który Bevin chciałby od nas odciąć, znajdują się największe wartości Śląska wrocławskiego i Śląska lignickiego.¶ Nic dziwnego, że Rząd Polski położył tak silny nacisk na wcielenie tego obszaru do Polski — Polski wycieńczonej okupacją niemiecką, zniszczonej wojną.

Minister Bevin zainteresował się cyframi ilości ludności. Trudno podejmować polemikę na ten temat. Dokładne statystyki odzwierciedlają obraz stosunków demograficznych tego obszaru tylko przed wojną. Wojna

---

* Cytuję za „*Daily Telegraph*", 17 sierpnia b.r.

** Poza „linią Curzona" został obszar około 180 kilometrów kwadratowych.

¶ Vide „*Nowa Polska*", tom IV, zeszyt 2 — Luty 1945.

przeorała zupełnie dawny układ. Przedwojenna statystyka jest zwodnicza dla oceny ostatnich ruchów ludności. A o te ruchy ludności chodziło znowu Churchillowi:

> „Około 8-9 milionów osób mieszkało na tych terenach przed wojną. Rząd Polski powiada, że zostało tam półtora miliona spośród tych, których jeszcze nie wyrzucono”.

Zdania te zarzucają tylko Polakom usuwanie wszystkich Niemców z ich dotychczasowych siedzib. Czy słusznie?

Dotychczas niemiecki wschód przeszedł w czasie Drugiej Wojny Światowej zasadnicze przeobrażenia. Zwaliła się na niego w pierwszej linii fala Niemców, ewakuowanych z bombardowanych przez lotnictwo alianckie okolic zachodnich Niemiec. Statystyka niemiecka okresu wojny notowała w związku z tym gwałtowny i gospodarczymi względami niewytłumaczalny przyrost ilości mieszkańców poszczególnych miast. W tym samym okresie kierownictwo Trzeciej Rzeszy, nie biorąc żadnego względu na stosunki rodzinne swych obywateli, przerzucało masowo tysiące robotników i techników z jednego kąta Niemiec w drugi. To reżym hitlerowski wyrywał Niemców z korzeni zasiedzenia. Ciekawą ilustracją tej wojennej migracji ludzi w Niemczech była ustanowiona przez Kościół Katolicki instytucja wędrownych proboszczów. Z tobołkiem w garści towarzyszyli oni swym ciągle przesiedlanym wiernym.

Inna fala, fala ze wschodu naniosła na te tereny setki tysięcy polskich niewolników na roboty przymusowe. Napływ był tak wielki, że niektóre wschodnie miasteczka niemieckie zmieniły swe oblicze narodowościowe — wzrósł gwałtownie odsetek ludności polskiej.

Zwycięskie ofensywy armii rosyjskiej zainaugurowały wreszcie ostatnie zjawisko w ruchu ludności tych obszarów. Władze niemieckie masowo ewakuowały ludność ze wschodnich prowincyj do centrum oraz na zachód i południe Rzeszy. Nie było dnia, żeby w prasie niemieckiej nie pojawiały się notatki i artykuły ile i skąd ewakuowano. Informacje te dają dokładne wytłumaczenie, dlaczego na wschód od Odry — Nisy Łużyckiej, na obszarze dotychczas niemieckim pozostało z chwilą wkraczania tam Polaków około półtora miliona Niemców. Jedyna w tym zasługa gauleiterów Hitlera oraz strachu, jaki gnał Niemców ze wschodu. Wraz z tą falą ewakuacyjną waliły jednocześnie na zachód masy kolonistów niemieckich, których Hitler osadzał na zrabowanych gospodarstwach polskich, litewskich czy ukraińskich i oni tłoczą się teraz gdzieś w centrum Niemiec. Nie z naszej winy.

Osadnicy polscy, którzy za wojskami rosyjskimi i polskimi spieszyli na Śląsk, Pomorze i do Prus Wschodnich zastawali tam więc często puste wsie i osiedla. Dorobkiem tych pionierów są sprawne i w porę sprzątnięte żniwa w okolicach opuszczonych przez Niemców. Gorączkowy pośpiech, z jakim Polacy przejmowali dotychczas wschodnie obszary niemieckie stanie się w ten sposób jeszcze jednym wkładem Polski w tę nieszczęsną wojnę — Polscy osadnicy przyczyniają się do zmniejszenia ciężkich problemów aprowizacyjnych Europy, zmniejszenia oczywiście, bo rozwiązanie tych problemów aprowizacyjnych wymaga akcji zbiorowej całego świata.

Konkludujemy więc:

1) miliony Niemców wędrujących bez dachu nad głową po centrum i zachodzie Rzeszy i sprawiających kłopoty administracji alianckiej, to skutek wojny i przemian, które ona z sobą przyniosła; nie ma w tym winy Polski i nie Polacy mogą temu zaradzić;

2) jeżeli władze Polskie dokonują pewnych posunięć wysiedleńczych na nowych obszarach, to akcja ta jest lub będzie zaledwie drobnym ułamkiem tych wielkich ruchów ludności, jakie spowodował na tych obszarach reżym hitlerowski.

III.

Churchill obawia się ujemnego wpływu nowej granicy polsko-niemieckiej na normalizację stosunków w Europie:

> „Muszę zanotować moją własną opinię, że prowizoryczna zachodnia granica tak uzgodniona, że Polska obejmie jedną czwartą ornej ziemi Niemiec, nie wróży dobrze dla przyszłości Europy".

Zdanie to bardzo zatrąca o wszystko, co po 1919 roku głosiła propaganda niemiecka o wersalskiej — *Brennende Grenze*. Zastanówmy się nad problemami nowej granicy polsko-niemieckiej z niemieckiego punktu widzenia. Niemcy dążyły przez długie dziesiątki lat do pełnej samowystarczalności ekonomicznej. Potrzebne im to było ze względu na ciągłe marzenia militaryzmu niemieckiego o nowej wojnie zdobywczej, której nie mógł planować kraj, zależny od przywozu surowców. Kraj skazany na przywóz chleba także nie mógłby się był porywać na te ambitne plany. Niemcy nie przebolały Pomorza i Poznańskiego po 1919 roku, bo wraz z odebraniem im tych terytoriów zamknięto im ich *Kornkammer*, żeby znowu przypomnieć jedno ze standartowych wyrażeń niemieckiej propagandy rewizjonistycznej. Robiły natomiast tym bardziej wszystko, aby rozwinąć rolnictwo w pozostałych wschodnich prowincjach Rzeszy, prowincjach, które obecnie tracą.

Prawidła wojny uległy ostatnio zasadniczej zmianie. Wydarcie Przyrodzie przez człowieka tajemnicy atomu niszczy wszystkie dotychczasowe wyobrażenia o planowaniu wojny. Samowystarczalność aprowizacyjna nie jest już tak ważną, jak była dotychczas. Nawet — żeby być cynicznym — dla przygotowywania nowej wojny Niemcy nie potrzebują swych wschodnich prowincyj. Mówią nam natomiast, że epoka atomu, jeżeli nie stanie się epoką zniszczeń zupełnych, będzie epoką pokoju. Pokój w stosunkach międzynarodowych to swobodna wymiana dóbr; Niemcy znakomicie będą mogły być aprowidowane importem. Zależność od importu żywności może nawet odegrać w społeczeństwie niemieckim rolę czynnika reedukującego ich w uczuciach międzynarodowej wspólnoty. W wewnętrznych więc stosunkach powojennych Niemiec fakt czy Niemcy będą posiadały „jedną czwartą swej ornej ziemi" czy też nie, nie będzie miał żadnego znaczenia dla ich aprowizacji.

Wykreślanie nowej granicy polsko-niemieckiej nasuwa natomiast z niemieckiego punktu widzenia problem inny, nieporuszony szerzej w dotychczasowej dyskusji na ten temat, co tylko potwierdza jak płytko ją narazie postawiono. Jest to problem czy i jak niemiecki organizm gospodarczy strawi przybytek wysiedlonej ludności na umniejszonym terytorium państwowym, wysiedlonej nie tylko z Polski, ale i z Czechosłowacji oraz Węgier.

Dane, jakie znaleziono w niemieckich archiwach wojskowych po kapitulacji Trzeciej Rzeszy wskazują, że straty niemieckie w tej wojnie w ludziach były mniejsze, niż przypuszczano. Są natomiast ciągle jeszcze tak potwornie wielkie, że bilans ludnościowy Niemiec wykaże ogromny spadek ilości rąk do pracy. Pamiętajmy, że Kahn, Burgdörfer i inni wróżyli Niemcom tragiczną przyszłość spadku ludności na długo przed 1939 rokiem i na długo przed rzezią ostatniej wojny. I uważali oni, że Niemcy o ile zachowałyby swój przedwojenny obszar i swą przedwojenną produkcję, musiałyby importować robotników cudzoziemskich dla zaspokojenia potrzeb wyschniętego rynku pracy:

> „Będzie koniecznym ustanawiać osobne prawa imigracyjne i nadzorować imigrację, aby ustrzec się przed zalaniem Niemiec obcymi narodowościami... Musimy także pamiętać, że w tym samym czasie, w którym Niemcy doznają stagnacji żywotnych sił swego życia ekonomicznego nasi wschodni sąsiedzi będą narastali w nowe masy ludności zdolnej do pracy".*

---

* Friedrich Burgdörfer, *Aufbau und Bewegung der Bevölkerung*, Leipzig 1935, strona 168.

Jest to okoliczność ważna, która zapewne ułatwi wchłonięcie Niemców przesiedlonych z ich dotychczas niemieckiego wschodu. Rozwiązania oczywiście nie będą proste. Muszą one iść w parze z pełną przebudową niemieckiego życia gospodarczego w tych gałęziach produkcji, które mają dużą chłonność pracy ludzkiej. Oczywiście z wykluczeniem przemysłu wojennego, który w Niemczech nie może i nie będzie odbudowywany. Przyznajmy, że jak dotąd w administracji okupacyjnej żaden większy plan zagospodarowania Niemiec w nowych warunkach się nie zarysował. Nawet prasa brytyjska jest pełna krytycznych uwag na ten temat. Co dzieje się na przykład z przebudową ustroju rolnego w Niemczech w okupacji anglosaskiej?

Sytuacja w Europie jest zupełnie zmieniona. Królują nowe dążenia społeczeństw, wszędzie rwie nurt głębokich przemian, podmywających stare brzegi, żłobiących nowe koryta. Czyżby tylko w Niemczech miało wszystko pozostać po staremu? Przemiany od „epoki *Herrenvolku*" do „epoki smutnego przebudzenia" będą Niemcy kosztowały drogo, i jako zbiorowość i jako jednostki. Na to nie ma rady. A przynajmniej trudno oczekiwać, aby narody europejskie, ledwo uwolnione z obozu koncentracyjnego niemieckiego panowania, miały szczególnie troskać się o łatwe przeżycie przez Niemców okresu przejściowego.

To, co natomiast narazie wiemy o niemieckim rynku pracy wskazuje na brak robotników niemieckich, zastępowanych jeszcze ciągle w wielu dziedzinach robotnikiem cudzoziemskim. To, co wiemy o planach alianckich wskazuje, że pewna część niemieckiej siły roboczej będzie zużyta do odbudowy zniszczeń wojennych, na przykład we Francji. Jeżeli zaś w Niemczech, w przyszłości mimo wszystko będzie nadmiar niezatrudnionych pracowników i robotników, to niech lepiej z Europy emigrują Niemcy, niż mieliby emigrować znowu milionami Polacy z braku odpowiedniej ilości terytorium dla wyżywienia całości społeczeństwa. Czas skończyć z tym, aby polscy robotnicy i chłopi wysługiwali się innym.

Trzeba też szukać właściwych sposobów dla zahamowania nowej niemieckiej propagandy rewizjonistycznej. Pokój europejski od tego bodaj bardziej zależy, niż od ukrócenia żądań terytorialnych biednych Polaków o kilka tysięcy kilometrów kw. Dążenia narodu niemieckiego przejawiane do ostatnich lat w dużej mierze były wyhodowane i kultywowane odpowiednią propagandą niemiecką i przewrażliwieniem zagranicznych kół proniemieckich. Dążeń tych nie będzie, gdy ustanie ich podsycanie. I to nie tylko od wewnątrz Niemiec.

Opinia międzynarodowa często zapomina, iż stosunek społeczeństwa niemieckiego do tego co nazywano w sloganach propagandowych mianem *Deutscher Osten* jest bardzo świeżej daty. Na wschód od Odry zaczynał się dla Niemców XIX wieku i dla Niemców początku XX wieku kraj obcy. Urzędnik tam przenoszony uważał, że wyrzucono go na karne przesiedlenie. Kupiec uciekał od robienia tam interesów. Prosty chłop szedł tam tylko wtedy, gdy go suto przekupiono ulgami kredytowymi i podatkowymi. Dzieci jednak jego znowu szybko wracały na zachód. Na wschód od Odry leżał obszar najostatniejszych posunięć kolonizacyjnych Prus, tych Prus, dla których Niemiec zachodu i południa Rzeszy do pewnego czasu nie czuł tak samo żadnego sentymentu, jak Goethe po pierwszym zetknięciu się ze środowiskiem pruskim w Berlinie.

Supremacja Prus w Niemczech i wkuwanie w głowy wszystkich Niemców ideałów politycznych, którymi Prusy żyły i stały się wielkie, stopniowo zmieniły nastawienie mas niemieckich. Dziś warunkiem reedukacji Niemiec jest oderwanie ich od fetysza pruskiej przeszłości. Pomoże ku temu wykreślenie z niemieckiego słownictwa pojęcia *Deutscher Osten*. Polacy, przejmujący te ziemie, na których będą musieli pazurami wydrapać olbrzymi wysiłek pionierski, podejmują się misji europejskiej. Gdyby

świat umiał to lepiej docenić, udzielałby nam w naszych zadaniach tylko pomocy a nie ciskałby nam pod nogi kłód. Zrozumiałby nasz organiczny wysiłek; nie zarzucałby egoizmu.

IV.

W domu, w którym mieszkali moi rodzice, rezydował stary radca niemiecki z rodziną. Przyjechali do Poznania z Saksonii. Nigdy nie umieli się zaaklimatyzować. Marzyli o przeniesieniu do Kolonii lub gdzie indziej na zachód. Radca miał jednak wielkie długi, specjalny „wschodni" dodatek do pensji — Ostmarkenzulage umożliwiał ich spłacanie. Siedzieli więc dalej w Poznaniu, ale myśleli ze strachem o możliwości przerzucenia do Królewca:

— Königsberg? Wo sich die Füchse gute Nacht sagen? Nein!

W 1919 r. żegnali Poznań rozpromienieni:

— Gott sei dank! Wir gehen nach Hamburg.

Istnieje duża literatura niemiecka, zastanawiająca się nad przyczynami takiej postawy.

W 1920 i 1921 r. okazało się, że Polska nie otrzyma Mazur, że Opole zostanie niemieckie. Społeczeństwo w Wielkopolsce i na Pomorzu przeżywało to jako narodową klęskę. Opinia międzynarodowa nie rozumiała uczuciowego nastawienia Polaków zachodnich dzielnic do problemu zachodniej granicy polskiej. Nie doceniało tego nawet wielu rodaków z innych połaci kraju.

Dzisiaj w wewnętrznych stosunkach Polski sprawę granicy niemiecko-polskiej czuje większość społeczeństwa. Narosło także entuzjazmu do załatwienia tego problemu na skalę dziejową. Świadczy chociażby o tym prasa polska w Kraju i na emigracji, przynosząca coraz więcej na ten temat artykułów. Przejawia się tu przede wszystkim emocjonalne nawiązanie do roku 1919 i chęć urzeczywistnienia tych aspiracyj, jakich nam się wtedy zaspokoić nie dało. Gdańsk, Olsztyn i Opole muszą być nasze. Rozumie się jednak dziś ten problem terytorialnie znacznie szerzej głównie dlatego, że przesunięcie granicy polsko-niemieckiej na zachód ma nam dać należytą — *substantial* jak podawał to tekst uchwał krymskich, *ample* jak to parę razy podkreślił Churchill — rekompensatę za terytorialne straty polskie na wschodzie.

Na pojęcie: państwo nierozerwalnie składa się z terytorium; pojęcia: naród nie da się oddzielić od sumy rozsądnie pojętej a nie szowinistycznie przejaskrawionej tradycji historycznej. Żaden naród nie nawiązuje do niechlubnych faktów przeszłości. Każdy sięga wspomnieniem przede wszystkim do czasów pomyślnych. Także jednostka stara się pamiętać raczej chwile dobre, niż przeżycia złe. Nowy kształt granicy polskiej, jak go wykreślano na Krymie i w Poczdamie, musi dla zbiorowości polskiej kojarzyć się ze świetnymi czasami pierwszych Piastów, gdy Polska stała nad Odrą i w Łużycach, gdy wyprawy cesarzy niemieckich pod Wrocław były zaborczą agresją w głąb polskiego terytorium.

Wiele argumentów uzasadnia konieczność przesunięcia takiego a nie innego granicy Polski, omawialiśmy je w lutowym zeszycie „*Nowej Polski*". W świadomości opinii polskiej najsilniej jednak gra i grać będzie czynnik tradycji historycznej — wzruszenie na widok starych murów piastowskich Wrocławia czy Lignicy, gra fal Bałtyku u ujścia Odry, gdzie na przybrzeżnych wyspach do dziś tli wielkie wspomnienie świetnych pamiątek Słowiańszczyzny. Ministrowi Bevinowi może się wydawać, że Śląsk da się podzielić, że jego część zachodnia mogłaby przypaść Niemcom. Dla nas Śląsk jest historyczną jednością i będziemy jej bronić skoro okoliczności pozwoliły nam wejść do tej piastowskiej dzielnicy. Mężowie stanu Europy—jak to odkrył „*Daily Herald*" 24 sierpnia — mogą nie doceniać różnicy między Nisą Łużycką i Nisą Śląską. Polacy ją znają.

Dobrze byłoby, gdyby biura studiów ministerstw spraw zagranicznych zechciały więcej uwagi poświęcić czynnikowi tradycji w polityce. Nie robi się tego i stąd — niestety — częste niezrozumienie politycznego zachowania się wielu mniejszych narodów europejskich. Czynnik tradycji gra tym silniej, im uporczywiej narodowi nieprzyjaciel stara się wyrwać i zniszczyć niepodległość. Polska przeżywa dziś okres regeneracji z jednego z najstraszliwszych zamachów; zamach godził nie tylko w byt polityczny, ale i w egzystencję biologiczną mieszkańców Polski. Nie powiodło się, ale jako skutek pozostaje tym żywsze czepianie się Polaków patriotyzmu.

Nie można i nie trzeba nam wracać do tradycji naszej ekspansji ku Wschodowi, tradycji Jagiellonów. Ze względów oczywistych, z pragnienia zachowania szczerze jak najlepszych stosunków sąsiedzkich ze Związkiem Radzieckim. Polacy chcą i muszą tym bardziej zasilać siły swego zbiorowego życia tradycją Piastów. Niech świat zechce rozumieć, że społeczeństwu polskiemu nie można odebrać tradycji — całej.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Z SZTANDARAMI I Z BRONIĄ

W zimnych miesiącach wczesnej wiosny 1814 roku grono polskich generałów i pułkowników miało powziąć pewną decyzję, która w jakieś sto lat potem, dla nas, w szkole, w gimnazjum, przy wykuwaniu podręczników historii, wydawać się miała dosyć zrozumiałą — po prawdzie, jedyną, a która w owych tygodniach wcale jeszcze nie była taką. Sama decyzja była zresztą wynikiem pewnej europejskiej konfiguracji, to jest pewnego stanu rzeczy jaki nastał właśnie wtedy w Europie w 1814 r., a nastawał, — czy też narastał — w ciągu prawie dwóch poprzedzających lat: 1812, 1813. Ów stan rzeczy rozpoczął się bowiem w chłodnych grudniowych podmuchach, wśród których przebrana w cerkiewne rjasy, futra bojarskie, szuby damskie i szczątki własnych mundurów, napoleońska „la grande armée" rozpoczynała swój mozolny odwrót moskiewski, z powrotem przez Borodino i Małojarosławiec, ku łozom nadbrzeżnym Berezyny, — a skończył się? Skończył się właśnie wtedy, w kwietniu 1814 r., kiedy armie sprzymierzonych wdarły się do Francji, marszałek Marmont poddał im Paryż, a w chłodnych salach Fontainebleau, l'Empereur podpisał akt abdykacji. Dwadzieścia pięć lat rewolucji francuskiej zamykało tym aktem swój rozdział ostatni — a grono polskich wyższych wojskowych stanęło przed bardzo wtedy aktualnym pytaniem jak zamknąć w tym rozdziale jego wspaniałe, najczystsze, polskie karty?

Historia nas uczy, i wszyscy to wiemy, że wodzowie polscy doszli wtedy do wniosku, że istnieje tylko jedno wyjście, to mianowicie jakie niebawem wybrali, prowadząc oddziały jakie im ufały i w nich wierzyły z powrotem do kraju, i to tak jak z kraju tego wyszły — to jest ze sztandarami, pod bronią, w zwartych szeregach. Oto wspomnienie tej chwili — z 1814 roku — jakie ma każdy jako tako wykształcony Polak — Oto wspomnienie z historii, — a raczej ze *szkolnych podręczników* historii, które, rzecz jasna, muszą upraszczać, muszą streszczać, i podając nam decyzje, nie rozwlekają się nad etapami jakie te decyzje poprzedzały, nad wahaniami, nad rozważaniami, argumentami za i przeciw, nad dyskusjami jakie przed pobraniem tych decyzyj, były toczone i w sztabach, i szeregach. Ale, rzecz jasna, że wszystko to nie odbyło się tak prosto i tak jednomyślnie jak to przedstawiają gimnazjalne podręczniki historii. Nie trzeba aż szperań po archiwach, by wiedzieć, że już wcześniej spora ilość Polaków w kolej-

nych etapach przestawała wierzyć, by z świetną, lecz ułudną gwiazdą Napoleona należało łączyć przyszłość Polski. Już w późnym legionowym okresie odchodzili od Legionów ludzie tej miary co generał Kniaziewicz, a wręcz do „orientacji rosyjskiej" przeszedł i działał czynnie w roku 1812 przeciw Napoleonowi ks. Michał Ogiński i Tomasz Wawrzecki. Nie zbywajmy byle lekceważeniem te nazwiska: pierwszy był przecież współautorem naszego hymnu narodowego: drugi był następcą Tadeusza Kościuszki po klęsce maciejowickiej. Wreszcie blaskowi gwiazdy napoleońskiej nie uległ nigdy inny człowiek najczystszej intencji, a wielkiego mózgu: Adam Czartoryski — Precedensy były. — Nie wszyscy Polacy byli za Napoleonem nawet w dniach jego chwały: a ci co za nim nie szli niekoniecznie byli przez to samo zdrajcami i łobuzami. (Niepomiernie więcej łobuzów kryło się może w barwnych mundurach Księstwa Warszawskiego, że wspomnimy tylko generała Zajączka.) Ale po 1812 roku nie tylko pewni Polacy do Napoleona już nie przychodzą, ale pewni jeszcze i od Napoleona odchodzą. Odchodzi od niego ni mniej ni więcej tylko sam rząd — najzupełniej prawowity i legalny—rząd Księstwa Warszawskiego. Zimą 1813 roku, kiedy Rosjanie zajęli już Kraków, ministrowie tego rządu nalegają nawet na swego kolegę, polskiego ministra wojny, ks. Józefa Poniatowskiego, aby nie wyprowadzał podległych mu polskich oddziałów z kraju, nie dołączał do Napoleona, ale pozostał, przypatrywał się biernie rozgrywce, zawarł z Aleksandrem zawieszenie broni. Znowu o nikim z owych doradców ks. Józefa, odwodzących armię polską od Napoleona nie powiedziała historia, żeby był złym Polakiem: pewni historycy polscy, półgębkiem co prawda, im przyznają nieco racji. Mniej przyznawali jej dalszym odstępstwom jakie się zdarzyły już w czasie pochodu wojsk polskich ku Francji napoleońskim szlakiem poprzez powstającą przeciw „tyranowi" Europy. A odstępstwa te były, i nie tak rzadkie. Siedząc gdzieś w Niemczech, z dala od bibliotek, pisząc na marginesie moich obowiązków wojskowych, nie mam — niestety! — możności przytoczyć wszystkich z nich, ale przecież pamiętnym i najważniejszym było odstępstwo pułk. Wiktora, na czele bodaj pułku, czy batalionu, nie najmniejszej więc, w tych czasach, jednostki. Była chwila kiedy nastroje te w cofających się ku Francji oddziałach polskich musiały być nader groźne, skoro ówczesny (po śmierci księcia Józefa) naczelny wódz polski, ks. Antoni Sułkowski, zameldował się z tym do Napoleona. Cesarz sam zjawił się w polskich oddziałach, przemówił do nich, zmienił ich nastrój, i ogólnie biorąc wojska polskie biły się do końca, nie zdradziły jak nawet zdradzali sami Francuzi. W armii polskiej było zawsze nader silne poczucie wierności przysiędze. Opierali się na niej najlepsi, żerowali na niej pośledni.

Ale nawet w momencie abdykacji Napoleona i po jego usunięciu się z życia międzynarodowego — przynajmniej do czasu powrotu z wyspy Elby, Stu dni i Waterloo — pewni Polacy posunęli swe osobiste przywiązanie do niego poza granice największej wierności żołnierskiej. Bardzo znaczna część miniaturowej napoleońskiej „gwardii" na wyspie Elbie składała się właśnie z Polaków, wybranych spośród wielu, wielu więcej co zgłosili się na ochotnika. Brali potem udział w jego powrocie, ginęli jeszcze pod Waterloo, a jeden z nich — niejaki kapitan Piątkowski — dotrze za cesarzem aż na świętą Helenę. Wreszcie, pewna ilość — nieznaczna zresztą — przeszła do armii francuskiej. Inna część „wzięła abszyt", to jest podała się do dymisji: byli i tacy co, pożeniwszy się, pozostawali we Francji, Włoszech, Szwajcarii: mało o nich wiemy dlatego że powsiąkali — logiczną koleją losu — w obce, niepolskie społeczeństwa. Nikt ich za to nie pochwalił. Tak, decyzja powrotu do kraju po upadku Napoleona wcale nie była decyzją jednomyślną: bo też i wcale nie była decyzją która przyszła łatwo i prosto. Ułatwiły ją i umożliwiły trzy rzeczy. Po pierwsze decyzja samego Napoleona, którego wojsko polskie uważało za tego któremu przysięgę składało i który może je z tej przysięgi zwolnić.

Napoleon nie zwalniał zaś wojska z przysięgi póki walka toczyła się i trwała, póki w jakichkolwiek rachubach ludzkich leżała, czy leżeć mogła, zmiana europejskiego stanu rzeczy. Natomiast nie widząc dalszych możliwości walki, sam Napoleon nie uważał się za uprawnionego do wiązania Polaków i nadal. Napoleon był realistą. On właśnie wobec swej klęski pospieszył pierwszy z zaproponowaniem zwycięskiemu Aleksandrowi I, tak zwanego „polskiego rozwiązania". Nie była to rzecz błaha, z rąk francuskich sprawa polska miała przejść w rosyjskie. Z wysuniętego na Wschód bastionu francuskiego, państwo — czy państewko polskie — miało stać się najdalej wysuniętnym na Zachód bastionem imperium Rosji. — Koncepcji tej nie przyjął, jak wiemy, Kościuszko. Pomimo wszelkie awanse usunął się od współpracy, nie dał swego nazwiska na to nowe dzieło. Pojechał, jak pisał, „do Szwajcar". Tak. Ale pojechał — *sam*. Nie tylko pojechał sam, ale nikogo za sobą nie ciągnął. Przeciwnie, polecał innym wracać do owej ówczesnej okrojonej, uzależnionej, politycznie mu nie odpowiadającej, Polski. Nie rzucił także gromu potępienia tym oddziałom polskim które w niego wierzyły, które whaftowały jego nazwisko, z nazwiskiem Dąbrowskiego, Czarnieckiego i Bonapartego, w wiersz hymnu narodowego, a ich mazurka. Przeciwnie nawet. *Zalecił* powrót. I oto w 1814 roku, armia polska, powstała z legionów, biorących swój początek z insurekcji kościuszkowskiej, rewolucyjnej i antyrosyjskiej, przechodziła pod rozkazy wnuka Katarzyny Drugiej, i szła ku Polsce, której nowym godłem był dwugłowy czarny orzeł Romanowych z rozpiętym na swych piersiach maleńkim polskim orzełkiem. Tak bowiem wyglądać miał odtąd herb nowego państwa. Na spotkanie tej armii wyległy tysiące witających ją łzami Polaków, — a, o ile mi wiadomo, żaden późniejszy czy ówczesny historyk nie potępił tej decyzji polskich wojskowych, żaden nie uznał jej za niepatriotyczną, żaden — dosłownie, żaden — nie wyraził zdania, że nie powinna była wracać do kraju, że przeciwnie, winna była zostać we Francji, czy gdzie indziej, czekać, protestować swoją postawą, trwać — — czy wreszcie, po prostu, rozejść się. I przestać być armią.

* * *

Krótkotrwałe, piętnastoletnie dzieje Królestwa Kongresowego, są dla nas mimo wszystko owiane takim czarem i nimbem, naród widzi w tym wiedeńsko-carskim tworze tak prawdziwy strzęp własnej przeszłości, że dzisiaj na ową decyzję powrotu do kraju powziętą przez polskich dowódców na Zachodzie patrzymy jak na rzecz łatwą, prostą i nietrudną. Ale trzeba przenieść się myślą do tamtych czasów, to co dla nas jest dziś wyschłą historią uczyńić tym czym to dla nich było: żywą polityką, żeby zrozumieć jak ciężkie, drażliwe i niełatwe zadanie decyzji stanęło przed ówczesnymi polskimi wodzami.

W szeregach ich armii i jej sztabach było wówczas pełno ludzi którzy brali udział w kościuszkowskiej, antyrosyjskiej konspiracji, bili się pod Racławicami, w obronie Warszawy, pod Maciejowicami, zmierzyli się z Suworowym na szańcach Pragi, a potem spotkali się z nim raz jeszcze podczas kampanii italskiej 1798 roku. Ludzie ci prowadzili swoich żołnierzy na Moskwę w roku 1812, i ich szabla ścinała się z rosyjską jeszcze na olchowych przedprożach, Smoleńska, Witebska, Małojarosławca, Borodina, Berezyny wreszcie. Wszystko boje z Rosją. Wreszcie pamiętajmy, że ówcześni dowódcy polscy byli w olbrzymiej większości ludźmi o lewicowym, jakobińskim podkładzie psychicznym. Nigdy się tego nie można napowtarzać dosyć, ale i konspiracja kościuszkowska, i legiony, były ruchem bardzo lewym, bardzo czerwonym, rewolucyjnym, o silnych międzynarodowych powiązaniach, radykalnym społecznie. Jak na owe czasy trudno było zaiste o bardziej radykalny odłam. Prawda, u niejednego owa czerwień spłowiała w ciągu lat i wyblakła, prawda że i serwilizm,

zjawisko częste w porewolucyjnych okresach, i karierowiczostwo zawsze bujnie rozkwitające w sztabach, poczyniły i tu spustoszenia, ale jednak dużo, bardzo dużo, pozostało z tej przeszłości, — a Rosja w oczach tych ludzi była jeszcze krajem samodzierżstwa białego, nienawistnego. Pomiędzy nimi a właśnie tą Rosją istniała nie tylko narodowa i życiowa, ale i ideowa przepaść. Ludzie ówczesnej armii polskiej wiedzieli wreszcie dobrze, że nie tylko zmiana polityczna, ale wprost kaprys carski wystarcza na to żeby człowieka, ba, całe masy ludzi zmieść z powierzchni ziemi. Te drogi nie były ówczesnej Polsce nowe: były to szlaki wygnańcze konfederatów barskich, kościuszkowców, wreszcie jeńców z wyprawy napoleońskiej na Moskwę. Wielu polskich jeńców z tej kampanii, w tym niejeden z generałów, nie wrócił był jeszcze zza Orenburga. Wszystko to było świeże, żywe, aktualne. Generałowie i pułkownicy wiedzieli, że dając swym oddziałom rozkaz marszu do kraju, dają i rozkaz marszu na Wschód; że skierowują Polskę w orbitę systemu w którym nie miała dotąd miejsca; że nie mają żadnej gwarancji, a przeciwnie, wiele było wtedy racji do sądzenia, że próba Królestwa Kongresowego nie utrzyma się długo. I znowuż pamiętajmy, że byli to na ogół ludzie światli i obyci; ludzie którzy czytali wiele; interesowali się życiem umysłowym; posiadali poważne, pozawojskowe wykształcenie; i raczej za wiele, niż za mało, rozsądku. Czy byli wśród nich karierowicze i szuje? Najniezawodniej byli i tacy, ale faktem jest, że ci właśnie nie stanowili większości, nie wybijali się na czoło, i nie oni zadecydowali o tym, że armia polska na Zachodzie zamiast rozwiązać się — co zawsze mogła — pomaszerowała, pod wodzą w. ks. Konstantego, do Warszawy, do Polski. Tak było w roku pańskim 1814.

Ktoś może jednak powiedzieć, że pobierając swe decyzje, generałowie i pułkownicy napoleońscy nie wiedzieli nic jeszcze o Nocy Listopadowej, że nie słyszeli brzęku szyb belwederskich, tłuczonych kolbami przez spiskowców jacy rzucą się za lat szesnaście niespełna, aby zatłuc tego właśnie wielkiego księcia. Jednym słowem, że gdyby Henryk Dąbrowski, Karol Kniaziewicz, Chłapowski, Chłopicki, Pac, Małachowski i inni wiedzieli wtedy jak szybko i jak tragicznie zakończy swój żywot owo jeszcze jedno państwo polskie wyrzucone na nurty historii, to wtedy, w 1814 roku, nie byliby na to poszli. Ktoś może — a raczej mógłby — powiedzieć, że gdyby przewidzieli tamto wszystko, to zapewne poszliby za Kościuszką „do Szwajcar", a może pozostali w gościnnej Francji, albo jeszcze wyemigrowali za morza, i „służyli ojczyźnie swoim protestem". Tylko że, jak dotąd, nikt jeszcze na całej przestrzeni polskiej historiografii takiego przypuszczenia nie wyraził. Nie chcę być gołosłowny, albo niedokładny, więc powtórzę: nie spotkałem się jeszcze u żadnego z historyków polskich ze zdaniem iż w roku 1814 polscy dowódcy wojskowi postąpili źle, że zawierzyli Aleksandrowi I, źle, że zamiast swe wojsko rozwiązać czy rozpuścić, doprowadzili je do kraju w zwartych szeregach, źle że oni, wywodzący się z insurekcji kościuszkowskiej, oni, współtwórcy epopei legionowej na świecie szerokim, poprowadzili swych żołnierzy, którzy im zaufali, do ówczesnej Polski, która była okrojona i ze wschodu i z zachodu, formalnie poddana carskiemu berłu, nawet swym godłem luźnie tylko przypominająca odwieczne polskie godło.

Piętnastoletni okres Królestwa Kongresowego doczekał się różnej oceny u różnych historyków polskich. Są tacy co uważają, że mógłby on był trwać dłużej: są inni którzy twierdzą, że nie mógł. Są historycy którzy sławią zasługi Lubeckiego: są inni którzy podnoszą jego błędy. Wielu historyków jest zdania, że nasza armia z tego okresu była znakomitą: inni natomiast uważają, że, jak zwykle, mówienie o znakomitości jest tu grubą przesadą. Jak zwykle na temat wszelkich rzeczy ludzkich są bardzo rozbieżne zdania. Spory odłam historyków uważa wybuch powstania

listopadowego za błąd, za nieszczęście, za klęskę. I otóż jedno jest pewnym. Nie było ani jednego głosu współczesnych który by tę decyzję ówczesnych polskich dowódców potępił; nie znalazł się i w przyszłości późniejszej żaden, dosłownie żaden polski historyk który by ją zganił, pomimo tego, że piętnastoletnia próba polsko-rosyjskiego pojednania, zwana „Królestwem Kongresowym" miała trwać nie więcej niż piętnaście lat.

Ktoś by może mógł sądzić, że wojsko polskie wracające w 1815 roku do kraju nosiło w zanadrzu swych myśli jakieś odwetowe projekty, wallenrodyzm na czternaście lat avant la lettre, albo, mówiąc bardziej współczesnym językiem, dwójkarskie czy szóstkarskie, czy jak się tam to jeszcze nazywa, pomysły. Ktoś by mógł powiedzieć, że właśnie gdyby nie powrót tego wojska, nie doszłoby nigdy do powstania listopadowego. Gruba to pomyłka. Historia nie znajduje żadnego uzasadnienia dla podobnej hipotezy. Było wręcz przeciwnie. Pełny i tryumfalny powrót armii był właśnie tym aktem, który ukoronował utworzenie Królestwa Kongresowego, zjednał mu ostatecznie społeczeństwo, sprawił, że w tym państwie, pomimo wszelkich jego wad i olbrzymich okrojeń, naród ówczesny odnalazł swoje własne państwo. To generałowie i organizatorzy legionów stali się właśnie podporami nowego dzieła, i zaufanie jakie zdobyli w społeczeństwie na skutek tylu lat walk ofiarnych na obczyźnie zużyli na jego ugruntowanie. Spiski, fermenty rewolucyjne, a wreszcie powstanie 1830 roku, wyszło spoza nich. Wyszło z zapalnych kół młodzieży która o Zachodzie tylko czytała, a nie znała go tak jak tamci z własnych doświadczeń, z politykierów sejmowych, karmionych jak Niemojewscy echami polskiego sejmikowania i odgłosami francuskich gazet, teoretycznych profesorów w stylu Lelewela. Nabielak, Goszczyński, Wybicki, Mochnacki — bohaterzy Nocy Listopadowej, to już inna generacja. Ulice Warszawy zaścieliły natomiast owej nocy tragicznej trupy kilku generałów polskich, z których wielu było nieskazitelnej pamięci, paru raczej nieciekawych, ale którzy wszyscy powędrowawszy na czele pułków z Francji do Polski, raz podjąwszy się, po długich wahaniach, próby porozumienia polsko-rosyjskiego (i to w tak złych warunkach), pozostali jej wierni aż w smierć. Czy tylko oni? A wahania Chłopickiego który przecież chciał powstanie, już wybuchłe, zażegnać? A cała rola Skrzyneckiego w 1831 roku? A dotąd niewyjaśnione próby Krukowieckiego? A całe, przed i popowstaniowe stanowisko, innego napoleońskiego wodza, generała Wincentego Krasińskiego, którego przecież nikt nie nazwał zdrajcą? Nie. Jest rzeczą jasną i niezbitą, że nie w tej armii która wróciła lęgły się potem walenrodyczne pomysły, i że właśnie ona stanowiła w ciągu całych dziejów Królestwa Kongresowego walny czynnik współpracy z Rosją. Może właśnie dlatego że,w tym całym kraju właśnie oni, po tylu latach spędzonych na Zachodzie, znali na wskroś Zachód i właśnie dlatego, że go znali byli mniej skłonni niż inni łączyć z tym skądinąd pięknym, ciekawym i bogatym Zachodem zbyt dalekie rachuby polityczne.

Czy historycy zrozumieli, docenili i uszanowali ofiarę jaką tamci wodzowie polscy prowadząc swe wojsko do kraju z siebie zrobić umieli ? Czy też pojęli i wiedzieli ile Królestwo Kongresowe zyskało na tym, że tysiące ludzi młodych, otartych o Zachód, wykształconych, zapełniło młodą budowę powstającej Polski? Czy zdali sobie sprawę o ileż ta budowa byłaby słabsza gdyby nie to, że od samego jej początku otrzymała tak poważne wsparcie? Nie wiemy. To jednakże jest pewnym, że i w opinii współczesnych i w opinii potomności dobrze zasłużyli się narodowi ci wodzowie legionów, którzy temu sto z górą lat poprowadzili swe wojska z powrotem do Polski, Polski bez Poznania, Torunia, Krakowa nawet, zamiast je skazać na wysyłkę, tułaczkę i wysługę obcym, na kondotierkę jakąś czy San Domingo.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

DO ŻONY

Ten wiersz o kwiatach i jeziorach
To jest dla ciebie ukochana
Abyś słuchała jak w szuwarach
Tajemnie śpiewa vox humana.

Bo są jeziora i są kwiaty
Pod powiekami śpiące w głuszy
I czasem zabrzmi głos skrzydlaty
W ukryciu wodnych pióropuszy.

I kiedy milczą wszystkie chóry
I ziemi krwawy dyszy opar
Brzmi jeszcze głos poety, który
Walącym w dąb się wichrom oparł.

Brzmi jeszcze czysta żalna nuta,
Która do duszy ci przenika
I śpiewać będzie zawsze póty
Póki się rodzi świat — i znika.

Ten głos jest cichy i nieśmiały
I bije w niebo jak skowronek,
Ale porusza nieba, skały
I powstający blady dzionek.

Ach, nie ostatnim, anim pierwszy,
Któremu na to serce dano,
Aby zaklinać w małość wierszy
Olbrzymi pogłos — Vox Humana.

ANTONI SŁONIMSKI

FINAŁ

Czy to był dramat czy też farsa,
Historja temu nada imię.
Rzecz miała miejsce w Hiroszimie,
Gdzie Uran wszedł w orbitę Marsa.

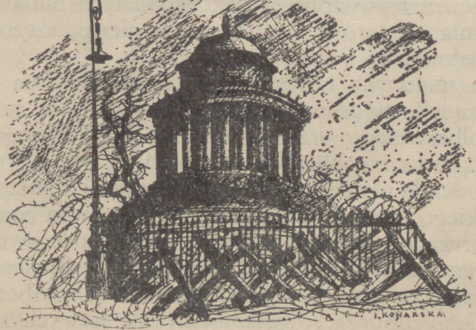
Kto bohaterem? Sztuką złudną
Do jakiej autor zszedł głębiny?
Głos jakiś słychać zza kurtyny,
Czy płacz czy śmiech — odróżnić trudno.

JULIAN TUWIM

KWIATY POLSKIE

DO SIOSTRY

Irusiu! Jaki ustrój kraju
Odbierze Polsce słodycz brzmienia,
Miękki aksamit jej imienia?
Poświęć jej, biednej, jedną chwilę
Melodyjnego zrozumienia,
Pogłaskaj mową, jakbyś dłonią
Dłoń naszej matki pogłaskała,
Samą jej nazwą sięgnij po nią —
A będzie „niepodległa”, „cała”,
„Wolna” i „silna”... Ach, bo gdzież
Ta „niepodległość”, „wolność”, „siła”?...
W starostwach? w sztabach? czy w mogiłach
Tej ziemi, co się rozmieściła
Od morza krwi do morza łez?
Niema wolności i nie będzie...
A siła... Tylko gwałt jest siłą.
Niema wolności i nie było...
To tylko wolne, co się w gędźbie
Poczęło, żeby trwać w legendzie:
Spływ krótkich sylab w wieczną miłość.
W imię jak metal jednolite —
A tyle ulubienia w nim,
Że miljon kwadratowych mil
Zmieszczę na calu sześciu liter.
Niedarmo to kojące miano
(Olejek leśny, balsam polny)
Z harfą eolską zrymowano...
Więc jakiż, Irciu, urząd celny
Jaki nam traktat czy niewola
Wstrzymają wolny wiew Eola
I podźwięk jego nieśmiertelny?
...Orfeusz, mówią, skały wzruszał...
Lecz dla polskiego Orfeusza
W piekle dziś miejsce. Siadł — i smyczkiem
Wywodzi trele swe tragiczne —
I śpiewa?
Nie. Wargami tylko rusza.



ZOFIA NAŁKOWSKA

LUDZIE W OŚWIĘCIMIU

Jeżeli objąć myślą ogrom przyspieszonej śmierci, jakiej miejscem — zupełnie niezależnie od działań wojennych — stały się tereny Polski, to obok zgrozy, najsilniejszym uczuciem, jakiego doświadczamy, jest zdziwienie.

Uduszono i spalono te nieprzebrane masy ludzkie w trybie najstaranniej przemyślanej, zracjonalizowanej, przyspieszonej i udoskonalonej organizacji. Nie wyrzekano się przy tym sposobów bardziej dowolnych, amatorskich, odpowiadających upodobaniom indywidualnym.

Nie dziesiątki tysięcy i nie setki tysięcy, ale miliony istnień człowieczych uległy tak przeróbce na surowiec i towar w polskich obozach śmierci. Oprócz szeroko znanych miejscowości, jak Majdanek, Oświęcim, Brzezinki, Treblinka, raz po raz odkrywamy nowe, mniej głośne. Ukryte pośród lasów i zielonych wzgórzy, nieraz z dala od torów kolejowych, pozwalały na rozwinięcie systemów jeszcze bardziej uproszczonych i oszczędnych. Tak znaleziono całe złoża umarłych, zagrzebane w Tuszynku i Wiączynie pod Łodzią. Tak wystarczył jeden stary pałac w Chełmie, położony na wzgórzu z przepięknym widokiem na rozkołysany trawami i zbożami krajobraz, jeden na pół zrujnowany spichrz, jedna w pobliżu rozległa, ściśle oparkaniona parcela młodego sosnowego lasu, by osiągnąć cyfrę ofiar, przekraczającą milion. Wystarczył mały czerwony budynek z cegły obok Instytutu Anatomicznego we Wrzeszczu pod Gdańskiem, by z ludzi zamordowanych wytapiać tłuszcz na mydło a skórę ich garbować na pergamin.

Żydom aresztowanym we Włoszech, w Holandii, w Norwegii i w Czechosłowacji Niemcy obiecywali doskonałe warunki pracy w obozach Polski, uczonym zapewniano stanowiska w Instytutach badań naukowych. Pewnej grupie Żydów darowano na własność bogate polskie miasto przemysłowe Łódź. Przy tym zalecano im, by zabierali ze sobą tylko rzeczy najcenniejsze.

Gdy transport więźniów przybywał na miejsce przeznaczenia,. ludzie wysiadali z wagonów na jedną stronę toru, walizki zaś rzucano w wielkie stosy po stronie przeciwnej.

Ponadto w blokach mieszkalnych kazano im się wszystkim rozbierać przed wejściem do łazienek i ubranie starannie złożyć. Gdy stamtąd wyszli nikt z nich ubrania swego nie odnalazł. Jednych wpędzano zupełnie nagich do komory gazowej lub do hermetycznych samochodów, w których podczas jazdy na miejsce spalenia dusili się gazem spalinowym. Inni otrzymywali wzamian łachmany, w których prowadzeni byli do pracy.

Jak w innych obozach, i w Oświęcimiu znajdowały się całe składy ubrań wełnianych, obuwia, kosztowności, przedmiotów osobistego użytku. Naładowane towarem pociągi odchodziły do Rzeszy. Brylanty zdemontowanych pierścieni wywożono w zakorkowanych butelkach. Wagonami szły całe skrzynie okularów, zegarki, puderniczki, szczoteczki do zębów — wszystko miało swoją wartość.

Utylizowanie spalonych kości na nawóz, tłuszczu na mydło, skóry na „wyroby skórzane", włosów na materace — to był już tylko produkt uboczny tego olbrzymiego przedsiębiorstwa państwowego, przynoszącego regularnie w ciągu lat nieobliczone dochody.

Ta stała dywidenda płynęła z ludzkiej męczarni i z ludzkiego przerażenia. A także z ludzkiego upodlenia i zbrodni. I stanowiła istotną ekonomiczną rację całej imprezy obozów. Ideologiczny postulat wytracania ras i narodów służył temu celowi, stanowił jego usprawiedliwienie.

Od więźniów powracających teraz do Polski z obozów niemieckich, z Dachau i Oranienburga, dowiadujemy się nowych szczegółów, które

uzupełniają naszą wiedzę o faktycznym stanie rzeczy. Okazuje się, że w Rzeszy całe zastępy specjalistów zajmowały się rozpruwaniem ubrań i obuwia, zwożonych z obozów polskich do centrali. W szwach odzienia, w podeszwach i pod obcasami trzewików znajdowali oni mnóstwo zaszytych złotych monet. Nie darmo po śmierci Himmlera odkryto schowane w jego siedzibie pod Berchtesgaden setki tysięcy funtów sterlingów w dewizach dwudziestu sześciu państw.

* * *

Przy zapoznaniu się z niezwykłym zjawiskiem Oświęcimia — zarówno na zasadzie materiału, który przyniosły zeznania świadków, jako też przy naocznych oględzinach miejsca dramatu — uderza fakt bardzo celowego przystosowania systemu i urządzeń tego obozu do zadania, mającego charakter dwojaki: polityczny i ekonomiczny, można by rzec — idealny i praktyczny.

Zadaniem politycznym było uwolnienie pewnych terenów od ich mieszkańców, by terenami tymi wraz z ich naturalnym i kulturalnym bogactwem niepodzielnie zawładnąć. Zadaniem ekonomicznym było, aby samo przeprowadzenie tego zamierzenia nie tylko nie przyniosło uszczerbku okupantom, nie powodowało żadnych kosztów, ale na odwrót: aby stało się zarazem źródłem, z którego można ciągnąć zyski — po pierwsze w postaci wykonanej przez więźniów pracy dla fabryk przemysłu wojennego, po drugie w naturze, to jest majątku zagarniętym po zmarłych.

Tak zamyślona i zrealizowana impreza była dziełem ludzi. Oni byli jej wykonawcami i jej przedmiotem. Ludzie ludziom zgotowali ten los. Jacyż byli ci ludzie?

Przed Komisją do Badania Zbrodni Niemieckich przesunął się szereg byłych więźniów obozu, ocalałych od śmierci wbrew wszelkiej nadziei. Byli to ludzie nauki, politycy, lekarze, profesorowie, stanowiący chlubę swoich narodów.

Każdy ocalał jeden spośród swoich najbliższych, każdy dowiedział się o śmierci swoich rodziców, swej żony albo dzieci. Ocaleli, wcale na to nie licząc. Doktor Mansfeld, profesor uniwersytetu w Budapeszcie, powiedział: „Tylko dlatego mogłem to przeżyć, że ani przez chwilę nie wierzyłem w ocalenie. Gdybym oddawał się złudzeniom, nie miałbym tego moralnego spokoju, który zachował mnie przy życiu”.

Zadaniem tych ludzi w obozie było niesienie pomocy innym, wówczas gdy sami co dnia ocierali się o śmierć, gdy na równi z innymi podlegali wszelkim odmianom udręczenia. Jako lekarze byli Niemcom potrzebni w obozie, to dawało im pewne możliwości ratowania ich ofiar. Tak doktor Grabczyński, Polak, objąwszy blok Nr. 21, miejsce mordu i postrach kierowanych tam na „wykończenie” chorych, zamienił go w szpital prawdziwy. Nie tylko otaczał ich opieką jako lekarz, nie tylko wyjednał dla nich lekarstwa i środki opatrunkowe, ale podstępem bronił ciężko chorych od zagazowania, ratował ich życie zapewniając że w ciągu pięciu dni będą zdrowi. Tak poseł Mayer, dzięki uporczywym staraniom, zorganizował dla więźniów kino i koncerty, a z najlepszych elementów obozu stworzył tajne stowarzyszenie oporu.

Ale i ci, którzy własnymi rękami wykonywali ten precyzyjny plan mordu i grabieży, byli także ludźmi. I ludźmi byli ci, którzy rozszerzali ramy rozkazów, którzy mordowali ponad przepisaną normę, z amatorstwa.

Ze świetnych pod względem plastyki opisów posła Mayera, który dwanaście lat swego życia spędził w obozach niemieckich, mamy pojęcie, jak wyglądali oprawcy Oświęcimia.

Największym zbrodniarzem w obozie był August Glass, krępy i muskularny, przechadzający się co dnia po blokach kolebiącym się krokiem atlety. Ten upatrzone ofiary bił w nerki w ten sposób, żeby nie zostawić śladów, a śmierć następowała po trzech dniach. Inny stawiał stopę na gardle człowieka i miażdżył mu krtań swym ciężarem. Inny zanurzał

głowę więźnia do kadzi, tak długo ją przytrzymując, póki nieszczęsny się nie udusił. Jeden z najbardziej krwiożerczych blokowych, niejaki Józek, zawodowy złoczyńca, był bardzo wymagający przy apelu i za niedokładne wyczyszczenie ubrania lub butów uderzał gumą, zakończoną ołowiem, po głowie tak celnie, że na miejscu zabijał. Zależało mu na tym, by mieć na dzień piętnastu zabitych. Jeszcze inny, wysoki na dwa metry, o długim nosie, długiej twarzy i wąskich oczach, z poruszającą się na szyi grdyką, z bardzo długimi rękami — codziennie tymi rękami dusił przed śniadaniem kilku więźniów, wybierając ich sobie na oko w różnych blokach podczas porannej przechadzki.

Niewątpliwie byli to ludzie, którzy mogli to robić, ale robić tego nie musieli. W innym układzie stosunków, w innym czasie — na parę lat wcześniej lub o parę lat później — ci sami ludzie mogliby zostać zwykłymi pracownikami, cennymi dla swej siły fizycznej i zadziwiającej istotnie wytrzymałości nerwowej. Ale zawczasu zrobiono wszystko, by wydobyć z nich i zutylizować te siły, które drzemią w podświadomości człowieka i które — nie zbudzone — mogłyby nigdy nie dojść do głosu.

Nadzwyczaj staranna selekcja i dobrze obmyślane systemy wychowawcze dostarczyły tego jedynego w dziejach zespołu ludzkiego, który odegrał do końca wyznaczoną sobie rolę.

Z zeznań posła Mayera wiemy, że w stadium początkowym partia Hitlera powiększała swój stan czynny, werbując sobie wyznawców spośród szumowin społecznych. Byli tam przestępcy, mordercy i złodzieje, byli sutenerzy. Ich wrodzone instynkty wychowanie nazistowskie otaczało szczególną pieczą. Świadczy o tym wydana w Niemczech ustawa specjalna, zabraniająca komukolwiek zarzucania członkom partii ich osobistej przeszłości. Wielu ludzi za przekroczenie tego zakazu siedziało w więzieniach. Według zeznań doktora Fischera, profesora psychiatrii w Pradze, na specjalnych kursach często dwuletnich, gdzie szkolono młodzież hitlerowską, odbywały się praktyczne ćwiczenia sadystycznego okrucieństwa.

Dzieci w Oświęcimiu wiedziały, że mają umrzeć. Do uduszenia w gazie wybierano mniejsze, nie nadające się jeszcze do pracy. Selekcji dokonywano w ten sposób, że dzieci przechodziły kolejno pod prętem, zawieszonym na wysokości metra i dwudziestu centymetrów. Świadome powagi chwili, te mniejsze, zbliżając się do pręta, prostowały się, stąpały wyprężone na palcach, by zaczepić głową o pręt i uzyskać życie.

Około 600 dzieci, przeznaczonych do uduszenia, trzymano zamknięte w bloku, nie mając jeszcze kompletu, potrzebnego do wypełnienia kamery. Też wiedziały o co chodzi. Rozbiegały się i chowały, jednak SSmani zapędzali je z powrotem do bloku. Słychać było z daleka, jak płakały i wołały o ratunek.

— My nie chcemy do gazu. My chcemy żyć!

Do jednego z doktorów zastukano nocą w okno jego lekarskiego pokoiku. Gdy otworzył weszło dwóch chłopców zupełnie nagich, skostniałych na mrozie. Jeden miał dwanaście, drugi czternaście lat. Udało im się zbiec z samochodu w chwili, gdy podjeżdżał do komory gazowej. Doktór ukrył chłopców u siebie, żywił ich, zdobył dla nich ubranie. Od zaufanego człowieka przy krematorium uzyskał, że ten pokwitował odbiór dwóch trupów więcej, niż otrzymał. Narażając się w każdej chwili na zgubę, przechował u siebie chłopców do czasu, gdy mogli znów ukazać się w obozie nie wzbudzając podejrzenia.

Profesor Mansfeld, przechodząc raz ulicą między blokami oświęcimskiego obozu w pogodny poranek letni, zobaczył dwoje małych dzieci jeszcze żywych. Siedziały w piasku drogi i przesuwały po nim jakieś patyczki. Zatrzymał się przy nich i zapytał:

— Co tu robicie, dzieci?

I otrzymał odpowiedź:

— My się bawiny w palenie Żydów.

FELIKS TOPOLSKI

NOTATKI Z OSTATNICH DNI WOJNY

(*Dokończenie*)

Wtarabaniamy się w kolumnę bojową. Tanki, carriery natkane dragonami. Pejzaż jak zawsze w bitwie przybiera się w światła i cienie — chałupy trzeszczą ogniem i kotłują dymami. „Akcja". Przeszła seria moździerzowa. Cwałuje mostkiem stadko matek i dzieci. Spieszeni dragoni przeciągają się w rowach. Leżą trupy ludzi i bydła — żują ciężko krowy, co przeżyły — filuje między nimi bokami piechota. Tanki zaparte w chałupach oślepiają salwami. Bliski grzechot — dragon z przestrzelonym hełmem i czaszką — dziury w hełmie interesują kolegów. Wyłażę z tanku. Z podniesionymi łapskami drepczą snipery w bok miedzą, płaszcze plączą się koło nóg, miedzą w pole pod słońce — trzeszczy brzydko sten-gun — walą się jak kukły — talią fotografijek dziewczyn sypie się po roli romans ich życia.



Znowu kłopoczę się cienkością granicy — gest, słowo naciska kurek i zamienia człowieka w śmieszny przedmiot — albo darzy łaską kopniaka. Widzę jak tamci wczoraj, wtłoczeni w nędzę drutów kolczastych, już jakoś (jakimś zakrętem losu) wygrali — śmierdzą potem, żują kromkę chleba, potykają się w życie.

Znowu uderza ironia epickich zmagań. Nazistowska karykatura ludzkich uniesień, heroicznych narracji, wykrzywia się wstrętnie — oducza szacunku dla barwnych żołnierzy przeszłości. Hitleryzm skrzywdził świat chyba najwięcej tym, że małpim grymasem zimitował gesty ludzkiej wielkości i dumy. Droga od wąsika Hitlera, kiedy wygłaszał bzdury i entuzjazmował miliony — do straszliwości wojny, skulminowanej w szarym sniperze umierającym z „für Vaterland" na ustach. Uczyliśmy się w dzieciństwie szanować ten okrzyk w jakim by nie było języku świata — oducza nas tego stojący na głowie cyrk szowinizmu niemieckiego i ogłupiały, wierny, heroiczny „Trupper", powtarzający spłowiałe gesty w krzywym zwierciadle XX wieku.

Znowu trzask strzałów — walimy się w rolę (chłodną i rzeźwą) w nogach trupów niemieckich — znowu seria — godnie ale z pośpiechem wycofujemy się z otwartego pólka — strzały poszły w chałupę obok — celował ktoś skądsiś w nas.

Dragoni (zaszargana, kramażąca się piechota), przykucnięci wzdłuż żywopłotów, albo utkwieni w niemieckich okopach, mechanicznie wymieniają kawały — uwaga natężona naprawdę w rutynę bitwy — podja-

dają kiełbasę i jaja, wyciągnięte z rozbitych sklepików — ładują karabinki maszynowe — jeden podciąga i zapina portki — inny grzebie się w rozwalonej chałupie, ciska na drogę zmiętoszoną flagę nazistowską, szuka skarbów, — inny jeszcze pochrapuje rozwalony w rowie — zaraz pójdą opłotkami przez kanał. Spomiędzy przycichłych tanków, popod zamiatającą pożarem chałupą wyłażę na poharatany i rozdygotany brzeg. Z ognia i huku piechur wyprowadza pod karabinem tragiczną grupę Niemców — dwaj zszarzali strachem podtrzymują trzeciego — zwisającą szmatę z łbem czerwonym jakby w kuble farby umaczanym.

A tymczasem tajfuny i tanki uspokoiły już moździerze wehrmachtowców — kapłańsko występują szperacze minowi i zataczają modlitewne kręgi wokół shermanów, dragonów wyłażących z rowów, chałup w ogniu; błogosławią umęczony kawał wsi niemieckiej gestem tajemniczo wsłuchanym w ziemię.

Powoli, z momentami zadyszanego pośpiechu i pauzami rozwlekłej nudy, odrabia się bitewny porządek rzeczy.



Papenburg trzepoczący białymi szmatami, rozdziawiony ruiną, pocięty kanałami. Wyłażą z dziur mieszczuchy, turlają dobytek z powrotem do chałup, stają bezradnie i niewierząco przed zmiażdżoną posesją; tłoczą się w ogonki, ustępują z drogi truposzom-głodomorom, poddańczo patrzą na różowe, tłuste torsiska żołnierzy rozwalonych w słońcu nad wodą; czarne hausfrauy linoskoczkują po zakupy po rozwalonym mostku; dziewczyna myśli o gwałcie i plączą jej się w popłochu i oczekiwaniu gołe, czerwone nogasy. Wypadamy w drogi polne pocięte w zagony tankowymi gąsienicami, patrzymy chmurnie (bo conquerors i obozy koncentracyjne) na sznurek wesołych babin faszynujących drogę — ale zajeżdża pogodny chłopek na rowerze z „P" liliowym na żółtym rombie i powiada: „A tak, ja z tej wsi — oni dobre ludzie, nie mogę narzekać". Więc się peszymy, sypiemy dobre słowa i uszczęśliwieni, odtajeni, nagrzani dziewczyńsko-chłopskimi chichotami i umizgami, jedziemy zagubieni w myślach — białe flagi — prawda głębsza: nie tylko kapitulacja, ale też niewinność prostackiego serca. Chłopiny polskie porozumiały się łatwo z niemieckimi. Zaraza hitleryzmu gdzieś tu na tych opłotkach się zatrzymała. Rabowanie i gwałt przenoszą winę na nas. Chłopek niemiecki żył bogobojnie i nie potrafi skojarzyć winy pierworodnej faszyzmu

z klęską inwazji. „Kwitki jakie zostawiać z wydrukowanym że to za nazizm i spowodowanie wojny kara — czy co?" mówimy.

Trzymamy sią z trudem wąskiej drogi z zaminowanymi bokami i wielkim transportem do wymijania. Potem w lasku sosnowym wyprzedzamy pogrzebik wiejski z pastorem, babami, trumną na furce i białą szmatą na patyku; galop wojny mechanicznej, fabryka trupów i grobów na tysiące — i ten z zamierzchłych wieków, na piechotę, ze skrzypem osi, powolny orszak śmierci jednego, jedynego człowieka. Wpadamy w zadymiony pożarem horyzont, terkoty strzałów, żołnierskie wygrzewanie się na przyzbach z wiekowym chłopstwem („Fraternizacja?" — „To Ukraincy, Panie poruczniku"), groby niemieckie — i kawalerskie gospodarstwo 10-go Pułku Strzelców Konnych. A więc, major-zagończyk dowódca pułku, ksiądz kapelan co jeździ na zwiady, kierowca tanku co kucharzy kurczaki („oszczędzamy — jego Królewskiej mości racji nie ruszamy") i o malowaniu rozmyśla.

Turkoczemy mostkiem (nazwa „krwawa koszula bridge"), mijamy (gdzieś w zapadłym kącie niemieckich błot) żołnierzyków z tobołami zdobyczy pod pachą — spacerkiem wybierają się na urlop w — Szkocji. Wciskamy się w linię tanków — rotmistrz Kłodziński, dowódca pierwszego szwadronu, rozsiadły na kanapie wyciągniętej z chałupy, wczytany w „Nową Polskę" z lutego. Jeszcze dalej — biwakowanie, byczenie się, zdobyczne cylindry, szaliki czerwone z podartych flag — dymy miotają się po wodzie, niosą z kujawiakiem wykrzesywanym z „liberated" skrzypek — kobiety, co, zacięte, wytrzymały w chałupach, wynoszą mleko.

Dalej wreszcie, za zakrętem kanału i wsi, ciężki spokój. Tanki czają się wsłuchane (załogi w earphonach) w ciszę — kogut truchtem drogę przeleci niemolestowany, wieś wymarła i strzaskana. Zajeżdżamy w cień i zasłonę ruiny, reszta pieszo; trochę selfconsciously kroczymy środkiem drogi bez zabiegów „podkradania się" — niewidoczny nieprzyjaciel widzi nas — z poczuciem obowiązku domaszerowujemy do frontowego tanku, przedstawiamy się, wymieniamy komunały towarzyskie. Jest wielka cisza, jest tajemnica zakrętów, węgłów chałup, opłotków, skupień drzew, perspektywy kanału — FRONT.

Front końca kwietnia 1945 roku, czekający na rozkaz dalszego ataku, albo na „Cease Fire".

Strzałka drogowskazów obraca się w dół. Jedziemy na „rear".

Haren — dziura rozbabrana bombami. Zacietrzewiona grupka u drzwi Military Government — jagnięcy „Polizei" i lwie kobieciny w za wielkich mundurach gęsto zdobnych w biało-czerwone floresy — Polki z Oberlangen-Stalag, żołnierki warszawskiego powstania.

Znowu złowróżebne wieże, latarnie wiszące nad drutami, szeregi baraków w dymach — ale słońce praży wiosennie i pocieszne, a zawiesiste pannice promenują się z szurgającymi żołnierzykami, układają parami wzdłuż zalesionej drogi, wartują (wielkie karabiny, loczaste fryzury, łydy wesołe, furażera wysoka, za długa bluza amerykańska) w wianuszku admiratorów kanadyjskich i polskich. Przedziwnie zapleciona operetka wdzięku, komicznego kostiumu, zawadiackiej maskarady z ciężkim patosem odwagi, patriotyzmu, ofiary — też z nieodłączną ludzką hańbą i małością. Dziewczyneczka dziewiętnastoletnia w aranżunku niepoważnie bojowym opowie w paru zdaniach o maturze podziemnej i oficjalnej robocie szwaczki z codzienną wizytą w fabryce mundurów w ghetto i patrzeniem na potęgujące się morderstwo; wieczorem, potem, szkoła rysunków Rychtarskiego. Zofia, starszy-sierżant podchorąży opowie w sztubacko-cynicznych słówkach historię rutyny powstańczej — o wyprawie po zrzuconą sowiecką amunicję na dach domu warszawskiego, o zasadzce, granatach ręcznych, oficerze A.K. co zasłonił ją i trupem zsunął się na ziemię i o czterdziestu bliznach co z koleżankami wczoraj w łaźni

wyliczyły na jej ciele. Ale znowu inna wybąka o szykanach tych kilku żydówek-żołnierek, co jeszcze przeżyły niewolę i wytrzymały w patriotyzmie. Żydówka patrzy okiem w zapłakanej obwódce — jedyna twarz smutna — przeżyła wojnę, rodzinę — i ukrywa się wciąż pod przybranym nazwiskiem. Niepojęta, przerażająca prawda: organiczna i upadlająca potrzeba ludzka (nawet na szczeblu niewolnika) upodlenia kogoś jeszcze. Maluczki w poszukiwaniu mniejszych jeszcze, żeby nimi pogardzać. Ja i ty wierzymy, że nam tego nie trzeba „do szczęścia" — ale może nawet nie zauważamy naszych własnych drańsw. „Widzisz, ludzie nie rozumieją własnej podłości" powiada Pokrzywnicka — i wie co mówi.

Ale obóz przeszedł olśniewające wzruszenia liberacji przez armię polską — ranny apel niesie się „Kiedy Rannymi Zorzami" w radości wielkiej.



Na „rear" turkocą smutne lorries napchane jeńcami — znowu znany, bolesny obraz obrócony (bo widziany z innej perspektywy) w kpiny. Klęska i cierpienia Antychrysta, to wciąż jego zwycięstwo — gesty pożegnania, krzywdy, żalu niemieckich żołnierzy, kiedy powiewają „rodzimemu pejzażowi", kobietom, dzieciom i starcom, wiośnie niemieckiej, ruinie „Ojczyzny", wykrzywiają prawdę w diabelskie kłamstwo. Śmiesznie sterczą w szarym mrowiu czapy oficerów — uroda młodzików zszarzała w hańbie, wiek średni szpeci Niemca — oficerowie są wstrętni — dopiero co zastraszone, teraz już zacięte gęby pod durnymi daszkami. Kobiety u drogi bezradne i znamiennie same.

Bzdura, bzdura — dumna maszyna organizacji wojennej „świata cywilizowanego" służy na dnie (ale i u sedna rzeczy) zapobieganiu prostej sprawie „sexual intercourse". Życie, myśli chłopki polskiej, niemieckiej, hinduskiej, australijskiej; dnie i noce żołnierza, jeńca wojennego, niewolnika przepływają i kształtują się od lat w samotnym samogwałcie.



Wjeżdżamy w Ruhrę. Rozpatroszone fabryki (ale nie wszystkie), szary pejzaż industrii, panienki piękniejsze (tuczone węglowym bogactwem) rowerują (raczej wystrojone) w stanikach ciasnych i fałdzistych spódnicach folkloru całoeuropejskiego. Kolumna paratrupów przejechała wiśniową linią beretów. Francuzi trzepoczą flagami ugrupowani tryumfalnie na ciężarówach „Pour Paris" (kiedy Niemcy-jeńcy natkani są płasko i szaro). Ludzie mrówczą się już wokół rozwalonych miasteczek, taszczą źdźbła, drapią się po gruzach — mieszczuchy, co wróciły, czy grabieżcy jeszcze?

Skrzyżowanie, budka strażnicza i rozsiadły wygodnie rozległy murzyn w hełmie (zapatrzone Niemki). Pytamy o drogę. Leniwie wstaje ogromny, trzepocze powiekami, bezradne oko wdzięczy się i kołuje; śpiewa bas wspaniały i powolny „I, sure dunno, boss". Wjeżdżamy w amerykański sektor.

Dursten. W rozwalonym skwerze stoją cieniste kasztany i stare pryki z fajami siedzą statecznie w ciszy popołudnia — bachory wracają jakby już ze szkoły — dziewczęta się wodzą — znaki powiadają w amerykańskim slang'u „Road and shoulders cleared of mines" — śmigają, sercu miłe, czarne gęby w jeepach — zasiedziała już okupacja dni kilkunastu.

Brniemy przez Duisburg. Ren i most pontonowy (olbrzymie kikuty żelbetonu sterczą z wody) z niebem obsypanym balonami, z działami przeciwlotniczymi, horyzontem kominów i szybów kopalnianych, miazgą błota i bitewnych odpadków, z gęstym smrodem ścierwa bijącym z ziemi. Homberg — zamordowane miasto wypróżnione z życia—tu i owdzie żołnierzyna amerykański drzemiący w osieroconym fotelu pluszowym. Czuje się, wącha strefę straszliwej mordowni.

Potem już znowu sielanka: mniszki przeplatają się z parami zadzierzystych dziewuch w portkach; most na rzece nazywa się „Love Bridge" i Amerykańce kogucio podreptują w dziewczyńskie ślady (65 dolarów grzywny ryzykując). „Hitler kaput" nabazgrane tu i ówdzie a w Krefeld „Adolf Hitler Strasse" wisi na jednym gwoździu nad pompejańskim pejzażem.

Amerykański sierżant z Chicago powiada po polsku: „Mordują szwabów", wskazując zadrutowane baraki „Displaced Persons". Ale Niemcy noszą twarze bez wyrazu i krzywdy zapadają im gdzieś głębiej. Ludziska łażą — przyśmieją się, popatrzą w psim czekaniu na razy — czekają na nie, ale są — nie chowają się i drepczą za dziennymi sprawami. Żydzi też chodzili tak po Warszawie.

Wieczór zaciemnia Suchteln, miasteczko nietknięte wojną — 21st Army Group Headquartery. Curfew wymiata ulice — patrole starych cockneyów tupią w takt muzyczki ciekącej z zablakautowanych okien podoficerskiej zabawy.



Piątek. Zaczynamy od pieca znowu. Świat grozy i tajemnicy znowu otwiera się trywialnie ludzką codziennością, deszczykiem, pokorą, dzwonami i katolickim śpiewem katedry. Hausfrauy chędogie pod parasolami, ludek gra swoją dewocyjną rolę sprawnie w katzenjamerze zbrodni.

Potrącają się w pamięci nieuporządkowane asocjacje dni ostatnich; upycham je w kąt, żeby oczyścić miejsce dla jutra: — strzały i śmierć w bitwie; wstrętne skarby (zegary, radia, kiecki, buty, łyżki, szkandele elektryczne) Geralda; „Ruski dobry człowiek" — „Moskali to się boję"; Niemcy: żwawa dziwka w kuchni headquarterów, babulka w uśmiechach, morderca czekający śmierci, żołnierz upokorzony; wyzwolony kościec, trzeszczący drogą płasko i bez patosu; dręczyciel i zadręczony wspierają się o siebie w niewiadome niosącej nocy; baraki obozu śmierdzą niechlujstwem, ale mają napisy staranne, a kajdany i łańcuchy otwiera grzeczny kluczyk na sznurku.

Drogę myli nam amerykański młokos na rozstaju, ale otwiera dzień pięknym uśmiechem. Gerald wymacuje niezgrabnie kierunek — toczymy się niechlujnie na Ren w panoramie wojennego transportu. G.I's (Dżiajs) kolebią się na niedbałych nogach, zarekwirowanych „kozetkach" — od niechcenia, leniwie asystują, podpierają, należą do luźnej a masywnej struktury, toczącej się po „Roosevelt Rhine River Bridge", budującej ten most, miażdżącej wroga i organizującej Military Government.

Wesel strzaskane. Przezierają, zawile kamuflowane, resztki bastionów rzecznych. Pieściwa zabawa w kamuflaż służy może podjazdom, wywiadowczej grze — ale, kiedy ofensywa zagrzmi, wali się wszystko pod jej olbrzymią i niedbałą pięścią. Siła pcha się bez finezji i durnie wiszą flaki siatek ochronnych na topolach drogi do Schermbeck nad rozmamłanym sprzętem bojowym. Powoli narasta znowu bliskość wojny. Powoli „looter" w żakiecie albo meloniku rozpanosza się na ruinach — hełm Wehrmachtu znowu koronuje krzyżyki, wraca swąd zgniłej spalenizny.

Smith powiada: „This is 'ow I like to see Germany" — mechanicznie pod komendę gazeciarskich komunałów, nie wchodząc w sens tego co gada.

Jesteśmy głodni; włazimy do chałupy, tupiąc zdobywczo. Nastroszone twarze—grupa w pozie terroru rozpływa się po minutach w ludzkie sprawy: płacimy guldenami, żyrowanymi moralnie przez holenderskiego „na robotach" chłopca; dwie dziewczyny i mały chłopak stracili rodziców i dom — przytuleni. Napełnia się gośćmi, zdrowym chamstwem. Wyciągam z siebie ułamki słów — rozumiem ogryzki. Hitlera oni by coś

tam... (ton gniewu i pogardy). Wielka rozmowa o „Russen" co rabują, gwałcą i mordują — hitlerowska propaganda wbiła im w głowy strach przed bolszewickim barbarzyństwem — czy przypadkiem nie każdy rozbuchany D.P. jest dla nich moskalem? Czy mogą spodziewać się ochrony alianckiej? — „Nein" — powiadam i wyrysowuję wielkie 1933, żeby im wyłożyć prapoczątek winy. Nie widzą koneksji. „Sie haben Krieg angefangen — Konzentrazionslager gemacht, Polnische und Russische Slaven gefangen" — dukam. Nie i nie — nie rozumieją — przyczyna i skutek rozleciały się w ich głowach. Ano jedziemy dalej.

Walfen — błocko i zniszczenie. Wielka połać kraju zagarnięta potrójnym drutem kolczastym — DP's utkwieni za zasiekami gapią się ciężko. Porządek zaczął się już bronić przed anarchią — liberowani idą za druty — a na wolności zgarbieni Schutzpolicaje radzą ze steranym ludem nad samoobroną pod plakatami „Volksopfer: Bruecke zur Front" i „Sieg oder..." z urwaną resztą.

Droga ciągnie się, kołuje, przedziera przez rumowiska miast, powtarzając elementy te same, a wciąż składane w odmienne obrazy — szary kalejdoskop wojennego czasu.

Dobijamy do Press Campu. Znowu ta sama marginesowa atmosfera natkana brandy i rozmową bylejaką, plotką, tasowaniem znajomych, prześciganiem się w transportowo-facilitowych historyjkach. Śpię w niemieckich pierzynach w brzydkiej a wymytej małomiasteczkowości — „złote główki" niemieckich dzieci w pokoju dziecinnym grzecznie i z entuzjazmem kłaniają się najeźdźcom.



28.4. Belsen. Pod szarym niebem dymi, kopci ludzki śmietnik. Snują się, wspierają o węgły baraków, kucają w dezynterii, zwalają na ziemię, umierają — dziwadła. Ale życie nie ma nigdy jednolitości kiczu — ludzie różniczkują się — nacją, wiekiem i czasem niewoli. Obok „au ralenti" wieloletnich męczenników, wibruje żywotnie instynkt samozachowawczy tych co tylko parę miesięcy tkwili w łapach oprawców. Ci głodem przyduszeni żyją w szmatach i maskach grozy, ale kiedy zagadasz — skarżą się, tłumaczą, opowiadają męki zwyczajnie ludzkimi głosami, rozgrodzonymi, aż do wspólnego końca, akcentem domu rodzinnego.

Nad dymiącym i łachami zasłanym ugorem kobiety wyszczerzają gołe, skurczone pośladki — trupy straszą niedosznurowanym butem, zapobiegliwie owiązanym zapuchłym paluchem — taszczą straszydła rozdygotanego gorączką cudaka do szpitalnego baraku. Pitraszące w skupieniu żydówki wyjękują proste opowieści; „dobrze pan wygląda" — powiadają na głosy; dziewczyna z Krakowa zwyczajnie „Za nic wzięli — za żydostwo". Kobieta-cień nie rozumie pytań — Greczynka, ale sterana ruda poczwarka dziecięca usłużnie i rzeczowo: „Ja mówię po polsku—trupy są tam." Flegmatycznie, jak robociarze, wyładowują SSy napchane ludzkim ścier-

wem ciężarówki, ciskają półgołe łachy w dwutysięczny zwał (brzuchy zapadłe i zielone od brukwi). Głośniki wywrzaskują jazzowe crooningi — dobrotliwy pomysł brytyjski — chwieją się nie w takt w zachodach za przeżyciem, za szczapą drzewa, kartoflem, pryczą, wyzwoleni już od dni dziesięciu Belseńczycy.

Widziałem skrawki łagrów, ludzi pod karabinami, w łańcuchach, pociętych ornamentem drutów kolczastych. Gdzieś na drogach Egiptu napotkane „ciężkie roboty", albo Arab w klatce palestyńskiej policji, chociaż dalekie, uderzały popłochem asocjacji. Więcej niepokoił Hindus na łańcuchu kroczący, albo japoński jeniec, skurczony strachem zwierzęcym. A najwięcej — bo cuchło już odorem terroru — chiński konskrypt padający z głodu na drogach, trud ludzi-szmat pod strażą, tłukącą kolbami; układne twarze-cyferblaty emocji w „szkole patriotycznej" Chungkingu.

Glob owinięty drutem kolczastym, wgnieciony w baraki, ogonki za zupą; terror indagacji, tłuczenie po pysku, łamanie kości, redukcja (w tłumie) do zupełnej samotności tonącego — wszystko to zgadywałem i ciężko, w tępych zamyśleniach, zazdrościłem tym, co to przeszli. W uporze nagromadzania historii dnia, a może w organiczno-mistycznej potrzebie zlania się z rytmem życia, brakowało mi boleśnie i głupio porcji „na dnie". Szczęściarz czy pechowiec — nie doświadczyłem tego — jak do dziś. Za to w Niemczech dotknąłem pulsu spraw ciemnych — poprzez przerażająco cienką granicę.

Te są chyba najmocniejsze reakcje wobec spraw piekielnych: — łamliwość, bezpodstawność marginesu pomiędzy sceną storturowanej krzywdy i światem widza; bzdura straszliwa PRZYPADKU, rozdzielającego te światy, tak chwiejnie, bezmyślnie, a bezapelacyjnie. Ten sam przypadek tylko decyduje o przejściu w wymiar następny — śmierć. Prostota, nieskładna łatwość z jaką wypatrasza się w sekundę życie z człowieka i zamienia go w przedmiot martwy — w przedmiot, bo trup traci z miejsca związek z żywymi (nawet w Belsen) — jest innym światem, kukłą (już kiedy pada — kukłą czy worem z piaskiem), bliższą właśnie zdruzgotanym domom, tankom, niż żyjącemu kurczakowi.

To mógłbym być ja, tamto mógłby być ktoś najbliższy — rozumowane sentymenty przytrzymują uwagę. Kupa trupów, masa znękanych, głodujących więźniów, są obce. Obojętność, co czyha za zakrętem świadomości, odganiasz z wielkim trudem. I nie dziwisz się, że brytyjski RASC oficer o parę mil stąd nie wierzy, (ale wierzy w ex-niewolników terror, bo widział). Z trudem wierzysz, owiany smrodem, potykając się o trupy, wyciągnięte za nogi z baraków na środek obozu, zagadywany przez obszarpane zjawy, zagapiony na skurczone dezynterią podkasane szkielety. Mimo gęstych raportów, czarnych ksiąg, fotografii, ciągle jeszcze świat asocjacji, który wybudowało wychowanie, nie zawiera obrazów grozy. Nie masz reakcji wytrenowanych, nastawionych na fale z piekieł. Wata poczucia „cywilizowanego" bezpieczeństwa służyła podobnie w ogniu blitzu londyńskiego, osłaniała nerwy. Nędza Eastendu, nieotłuszczona dobrobytem, reagowała naturalnie — bała się, wiała do schronów. „Well-to-do" i inteligenci szastali się pod bombami. Myślę, że też i dlatego z grzeszną zazdrością patrzę na męczenników: sparaliżowane reakcje proszą się o szok wyzwoleńczy.

Ale jest jeszcze jedna rzecz, mniej subiektywna, a masywnie brzemienna ostrzeżeniem — sprawa najważniejsza: wielkie nagromadzenie cierpienia, tłumy konające niewinnie, krzyk ogromny — nie mają treści. Myślałoby się (nic w naturze nie ginie), że, chociaż gruba większość tych milionów poszła na męki nie wiedzieć za co — pasywnie, akumulacja energii torturujących i torturowanych powinnaby porodzić ideę, wiarę-rekompensatę. Nic. Ludzie męczą się, podlą, umierają, narzekają — płasko, przyziemnie, egocentrycznie. Myślałoby się, że za to masowe ukrzyżo-

wanie spłynie na ludzkość odkupienie — odrodzenie przez mistyczną legendę. Nie ma legendy, wiary, koncepcji.

Prawda, pierwsi chrześcijanie poszli na męki za coś, ofiarowali się swojej wierze i torturze, tak jak później heretycy, rewolucjoniści, patrioci. Patrioci i rewolucjoniści zachłystują się wciąż świadomością ofiary. Ale masy pasywnych cierpiętników, nieulepionych z gliny heroicznej, pasywnie giną, przetapiają się w gnój i ziemię. Energii w nich nie było, więc wyładować jej nie mogli. To właśnie „oszustwo" terroru — płaskość beznadziejności, szarość dnia uwolnienia — i nieprzerwane, zafrasowane krzątanie się ochłapów człowieczych, miażdżą widza. Tak wyglądało pewnie piekło Dantego — zagony ludzkie, dalekie perspektywy setek tysięcy skopanych — bez protestu serca czy mózgu — skarżących się tylko językiem żołądka — bo i ostry smak płci już jest niestrawny. Byli okropnie mali, torturą wygnieciono z nich parę odruchów podłości, ale nie nauczyli się niczego. To chyba jest naprawdę krzywda: nie pojedynek awanturników, rycerzy, obrońców i najeźdźców, ale ohydna zabawa w zamęczanie maluczkich duchem, bezcelowa, wstrętna i bezdennie głupia.

I już nie dziwisz się kiedy z dna, z śmierdzących baraków, z gnojowisk, z trupiarni, wychodzą ofiary i powiadają, że umierająca kobiecina błagała przyjaciółki, „żeby tylko te żydówy" (wyznaczone do grzebania trupów) nie dotykały jej martwego ciała.

Albo, że szacunek i podziw dla Nazi królował w obozach jeńców.

Albo, że żydzi-specjaliści od rozpoznawania zatajonych współrasistów „pracowali" w obozach koncentracyjnych.

Cielisto malowany Chrystus na krzyżach przydrożnych Niemiec wygląda nie jak Syn Boży, ale jak jeszcze jeden zamordowany „żydek".



Niedziela. Zmiażdżony Münster (powiadają, że przed wojną takie sobie miasto). Jak dostojnie sterczą kikuty pilastrów klasycyzujących, co obramiały przedtem sklepiki korzenne — godność śmierci. Patrole amerykańskie trzebią ludzi — łapią w sieci nazistowską rybę. W jag-

nięcym tłumie (porzucone w błocie mundury upstrzone orderami) nie rozpoznasz wroga — łowi się niezgrabnie, na chybił-trafił.

Rozstajne drogi — Bremen w lewo — Hamburg w prawo. Chłopiny na wózku hołubią kozę i graty. Ciężarówki trzęsą odurzonym szczęściem ładunkiem (Direction Paris! Bruxelles!) — ładunkiem przyszłych demonstracji głodowych. Zamaszyście a bez kierunku byczą się Słowianie — zagarniają łapczywie krótkie dni, zanim roztasuje ich „wyższa konieczność". Tanki, wozy Czerwonego Krzyża galopują na wschód. U wjazdu do Bremy wisi na latarni portrecidło Hitlera — clown diabelski, oszust pompatyczny. Starannie wypisana gotykiem kartka, przyszpilona u spodu: „Und doch siegen wir!". Szary tłum uciekinierski staje, gapi się na Fuehrera i napis (któryż z nich to napisał, albo też tak myśli?) — przechodzą. Tarmoszą się w ruinach ludziki obładowane łupem — deszcz zalewa i umazuje błotem ohydę rzeczy. Dostatni, kiedy rabują, są wstrętni — nie ma w nich anarchii, odwetu i zbójnictwa, ale płaskie przenoszenie dóbr spod cudzego pieca pod własny kominek.

Wjeżdżamy do Bremy — śmierdzi okrutnie spaloną zgnilizną. Holenderski sierżant wydziera spod Niemców rowery i prezentuje nimi D.P's. Rathaus-Military Government tłoczy się sztabowcami, petentami i mundurami niemieckiej policji. Sępi pułkownik brytyjski za biurkiem w gabinecie burmistrza wyszczekuje (przez tłumacza) dyspozycje — grupa dygnitarzy policyjnych wykrzywia pyszne gęby w grymasy wdzięczenia się. Pułkownik podnosi głos, kulminuje instrukcje — wstaje — prawie karzełek (znamienny prognostyk) — rewolwer wielki dynda mu do kolan — napęczniałe karki niemieckich dryblasów pokornie się chylą. U drzwi natarczywy, hałaśliwy salutaż Schutzmana naprasza się porozumieniem munduru i błagonadiożności — bezradnie odsalutowuję.



Szarańcza rabunku obsiadła miasto — wciska się w złocone kamienice rynku (płaty fasad zdarte, wypatroszone wnętrza) — tłok pijacki, wojsko i lud. Wdzieramy się ze Smithem w nasiąknięte winem ciemności, kręte

stopnie w dół, zapałki trzaskają, łomot, wrzask, deptanie, pijany głos ryczy z ruska „Ubirajsia swołocz — dojcz nicht — verboten!" Powrzaskuję: „Smith, Smith!" — zapodział się. Butle klekoczą, błyszczą, pryskają. Ale po minucie: „Sir! Sir!" Jest Smith — kroczy pyszny, zadzierzysto-koknejski w błyskach światełek — dwa mużyki wiernie taszczą za nim ogromny ładunek butli reńskiego. Amerykanie napychają jipy. Wińsko paruje w kałużach. Ludziska szamoczą się u wejścia — rozmamłane baby niemieckie, zalane andry. Brytyjczycy ładują w poczuciu winy, moskale i Polacy rozkładają ognie w załomach ruin, zgliszcze sterczą dostojnie i hanzeatycko—wszystko utopione w pośpiechu orgii maruderskiej. Obraz wojny dopełniony.

Wieczór zamazuje widowisko. Rozbuchana tłuszcza rozpływa się przycicha. Zimno, ciemność, deszczysko przykurcza ludzi. Tłoczą się szaro, ustawiają w pokorne ogonki przy garkuchniach.

Ulicami turkocze tankietka — patrol nocny; na zadzie przysiadły dwa Schutzpolicaje — zmoczone nietoperze; zakręca za róg — złowieszczo sterczą czapy niemieckie nad sylwetą działa i beretów brytyjskich.



„Dust means death — Go slow" — znaki i deszcz. Chłopak niemiecki zasypuje grób. Brytyjska piechota maszeruje bokami szosy na Zeven, udrapowana w ceratowe peleryny; buciory pryskają błotem, brną gęsiego przez pola.

Ostatnie wojenne gesty: żołnierz i oficer w marszu, grupy na wozach pancernych, grupy wypoczywające — wsparci o karabin, rozwaleni w rowie, przyklęknięci nad rozpiętym ankletem; grupy skaczących w pośpiechu z carrierów — broń w ręku. Idący w bok na przełaj, zgięci, przyczajeni — i znowu ślamazarni. Tanki stłoczone w mazi kałuż, gmatwanina sprzętu i spłoszone konie uciekiniera, stara kobieta wyjąca w strachu. Gesty rozkazów, oparcia o ścianę tanku, wychylenia z wieży, patrząc w dymy. Twarze w kapturach overallów, szkłami i słuchawkami związane z machiną — w oczekiwaniu; gesty błyskawiczne i zamarłe pod ogniem; twarze rannych w rezygnacji, albo „good show" robiące, albo wessane i szare bólem, albo nieprzytomne. Pocisk wbija się w żołnierza — i wpierw bunt ciała a zaraz potem zwiędnięcie.

Ostatni pewnie raz patrzę na te sprawy. Ciemność narasta, ale cienie hieratycznieją, nabierają ważności monumentu. Zawracamy. „Let's beat it" powiada Gerald. Zostawiam za sobą w nocy nadelbiańskiej ostatni dzień epopei lat prawie sześciu. Nostalgicznie mi jakoś i głupio. „Wyszedłem przed końcem" plącze mi się po głowie. Ale jednocześnie myślę:

Właśnie tak bez zakończenia — zapada noc i okrywa toczącą się bitwę — tak jest najprawdziwiej i najgroźniej. Jutro, pojutrze będę czytał w gazetach o „surrender", o wiktorii. Ale świadek naoczny, nie będę wierzył i pamiętać zawszę będę, że tylko ciemność zapadła...



Odkręcamy film wojny w złą stronę — cofa się wszystko — zawsze to samo, tylko że ludzie już znowu o stopień głębiej w codzienności. W pięknych czerwono-ceglych chałupach w zielone albo niebieskie kraty belkowań siedzą, jak granitowe posągi, dostojne, odwieczne i nienaruszalne Grosmuetter, co mają braci i wujów w Ameryce. Pokolenia kobiet zapełniają wielkie izby, aż do czteroletniej Lieschen z urokami dołków. „Wo sind die Maenner?" „Im Felde... buddeln Kartoffel aus". Nietknięta dziedzina nabiału i czystych spraw chłopskich. Ale młody „bauer" w drwalni nie ma nogi i był na Krecie, w Polsce, Rosji i Francji, a zaraz za wsią sterczą wieże strażnicze, poniewierają się podarte druty kolczaste.

Greven roi się Polakami i biało-czerwonymi flagami. Niedługo przyjdzie Katzenjammer gier politycznych i rozwlekłych miesięcy pokoju wciąż w niemieckiej niewoli. Masa ludzka będzie już wtedy zgodnie chciała wracać do Polski.

W Münster szyldzik na ruinie: „Scholmann — Militaerschneider — uebersiedelt nach..." w zakamarki czy podziemia — i może dalej kroi mundury.

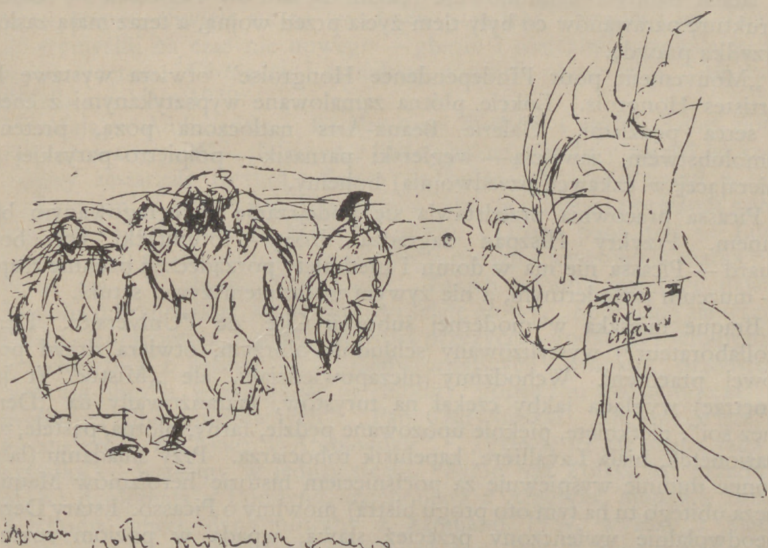
Drapują się francuscy wyzwoleńcy wokół spiżowego wojaka w pikielhaubie, obejmującego sztandar: Żołnierz Nieznany z wojny ostatniej, czy pomnik tryumfu roku 1870. Reszta plakatu powiada: „Der Fuehrer: zwar noch in diesem Jahre die geschichtliche Wende eintritt! STEHEN UND KÄMPFEN!"

Amerykanie zmasakrowali wszystko. Dülmen złowieszczo pasuje mazią ruiny do belseńskiej trupiarni.

Haltern. Wielkie rozbite reflektory czuwają w polu nad gotyckim kościołem.

Noc idzie. Jaskrawe amerykańskie ognie palą się ozdobnie odbite w płótnach namiotów na olbrzymim tle kopalnianych ruin. Zamykają się Niemcy wymarłym światem nocnego curfew — ciężkim smrodem, wsiąkającymi w ziemię gratami wojny. Droga, połupana straszliwie, rozpływa się grudą w odwieczny gościniec polny. Noc, cisza, pustka, zmasakrowany pejzaż — znak naddarty powiada: „Nach Holland" — przekraczamy granicę między dwoma krajami, co wywindowały „cywilizację" Europy najwyżej, tak jak przekraczał ją człowiek przedhistoryczny — w zupełnej dziczy.

Podbijany wyrwami wpół drzemię wpół kłopoczę się nieskładnie, jak to my inteligenci-reporterzy, inteligenci-pisarze, poeci, malarze, natężamy się nieprzyzwoicie 'na zawijasy oryginalności. Jak nieskromnie, kiedy gapimy się na gorące życie, kombinujemy sobie kształtne „osobiste" wypowiedzi. Zarozumiale powtarzamy między sobą, że stoimy „z boku", że jakimś cudackim prawem „obserwujemy", a nie należymy. Pewnie, że z grubsza można by podzielić ludzkość na tych co robią i tych co spisują historię. Ale zapatrzenie się we własny „podświadomy" pępek i spisywanie czy wymalowywanie własnej „personality" świat, maszerujący brutalnie, zepchnął w rów przydrożny i zostawił za sobą. Na lepsze czy gorsze — to już wszystko jedno. Żyjemy w dniu dzisiejszym — i najzgrabniejsze baletowe skoki (à la półbogi) nie odedrą nas od kuli ziemskiej połowy XX wieku i nie uwieszą w wieczności. Ale nie o tym przecież myślałem, a o wstydzie spisywania tych tu notatek — zasypiam.



Le Bourget ustawia rozmamłany szpaler żołnierzyków dwudziestu kilku — każdy inny. Odrabiają rutynę przyjmowania transportów „nos heros" z Niemiec. Przechodzę przez szpaler i jadę do Scribe'a. Panorama bałaganu i nędzy przedmieść; rozhuśtane entuzjamem powrotu autobusy, wiozące załzawionych repatriantów, jadą przez zszarzałą, głodną codzienność. Przekupy, niebiescy robociarze. Afisz „A bas le vote des femmes!" Potem ulice napuszają się zamożnością, kobiety podkładają korki-koturny pod stopy, piętrzą kapelusze — sklepy natrząsają się bogactwem i cenami. Afisz: „Berlin est tombé! Vive la France! Vive de Gaulle!" Tłum nie zauważa powracających. Tak oto w trzęsącym się busie, w ogonie konwoju uwolnionych, kroję przez paryskie warstwice.

Metro. Facet w kapelusiku na bakier głęboko ziewa nad „France-Soir" i nad wielkim „HITLER EST MORT"...

Bajzel koło Porte St. Denis. Stawialskie Amerykany w hełmach przy barze i zgnębiona nuda kobiet. W rogu gruba bruneta w czarnym staniku i przezroczystej od pasa spódnicy (pośladki ciężko wiszą nad starymi łydami) kramaży się nad czymś. Kostium uwodzicielki, ale ruchy poważnej transakcji handlowej. Zaglądam. Głęboko dyskutuje ze starym obszarpańcem, grzebie w 4-ch bochenkach utkwionych w koszyku; wymacuje czerstwość, przebiera — kupuje CHLEB.

Inwalides. Błyszczą dumnie kopuły, stare armaty sterczą nad perspektywą, Eiffel wygląda zza rogu (wiejąca tricolorem), młodzi ludzie za-

maszyście wdrapują się na wielkiego Shermana (ustawionego w skwerze), pysznie domacują się zamków działa i rozsiadają w wieżyczce. Górą ryczą amerykańskie fortressy.

Róg Bulwarów. Uliczna chanteuse — harmonia przygrywa — budzi stare sentymenty. Dziewczyna zawodzi pięknie (tanio i z żołądka) — chór się napiętrza — jest wiosennie i prawie jak dawniej. Ale na lewo stoi pokurcz w połatanym płaszczu i pasiastych portkach Konzentrazionslageru, GI-s podmacują żujące gumę panny, żebrak pojękuje, dorożkarze wykłócają się przy szkapach o 500-frankowe kursy.

„Le Theatre de la Mode" — wystawa w pawilonie de Marsan. Paryż próbuje wrócić na tron przemysłu elegancji świata. Bogactwo, wykwinty i smaczki parysko-vogue'owatego baroku lat trzydziestych — i zapatrzony tłum szarych kobiet. Paryż próbuje, wysila się, żeby zapomnieć o latach hańby i nadbudowuje rękami Berard'ów i Cocteau'ów sztuczną strukturę parawanów co były tłem życia przed wojną, a teraz mają zasłonić brzydką prawdę.

„Mouvement pour l'Independence Hongroise" otwiera wystawę Des Artistes Hongrois. Łokcie płótna zamalowane wypsztykanymi z energii i serca pędzlami. Galerie Beaux-Arts natłoczona pozą, pretensją, samolubstwem, zawiścią — węgierski parnasik — półpiętro paryskiej (zamierającej w czkawce przedwojnia) bohemy.

Picassa pracownia przedstawia się podejrzanie posegregowanym bałaganem. Przykry Hiszpan zagradza drogę — totumfacki czy bodyguard — Picassa nie ma w domu i nietknięty porządeczek pachnie trupem — muzeum pośmiertnym, a nie żywym warsztatem żywej sztuki.

Braque mieszka w modernej suburbii Cité de l'Université. Derain (collaborateur?) wystylizowany schludnie olbrzym, otwiera drzwi pokazowej pracowni. Wchodzimy niezapowiedziani, ale „Mistrz" (i jego wnętrze) wygląda jakby czekał na turystów, zaaranżowany na „Derain chez soi": nietknięte, pięknie upozowane pędzle, farby, płótna, pastele, teatr marionetek, biała Lavallière, kapelusik robociarza. Przy śniadaniu (la patronne dumnie wyśpiewuje za pociśnięciem historię heroizmów Maquis i męża ubitego tu na tym oto progu bistra) mówimy o Picasso. I stary Derain, nieodwołalnie uwieńczony przecież sławą, wpada w poziom rozindyczonych zazdrośników, ustawia te same rekwizyty łatwizny, co moje pokolenie z Du Dôme, czy Paddingtonu: „ Picasso,mais voyons, to przecież nie malarz — tylko dessinateur co wypełnia kontur kolorem".

Zadyszany marché-noir i rozszarpywanie dóbr bożych komercjalnego Paryża. Café Flore — ten sam, bez tchu, pośpiech w przepychaniu się na powierzchnię „la Culture Française". Są miejsca niezapełnione—ci zginęli, tamci jeszcze nie wrócili, inni — collaborateurs. Giełda grup literackich, pism artystycznych, przetasowywanie w wyścigu hierarchii—co za chwilę (kiedy strategiczne pozycje się obsadzi) zamrze w dostojność i autorytety niezłomne — na następne 20 lat.

Rozmowy. Ciągłe straszliwe relacje o rozpaczliwych pościgach, o morderstwach, o chodzeniu do teatrów i kawiarń w sieci „raffles", a najwięcej o policji, o Francuzach co się podlili. Robi się nieswojo w Paryżu. Zaczyna się podejrzliwie patrzeć na urodę miasta, czary bistrów i sklepikarzy. Wdzięczą się, a do kogo wdzięczyli się wczoraj, kogo „wydali"? „Francja jest kokota" — powiada Irena. Stary komunał. Refleksja: „Europa skurwiła się przecież cała — Francja jest przynajmniej kokotą piękną".

Szpetna marché-noir restauracyjka. Uciecha paskarzy. Stara chudzina zdejmuje płaszcz — kiecka frywolna i wymięta, umęczona żylasta szyjka, wygniecione łokcie i dłonie. Śpiewa-krzyczy sprośności, podszarpuje sukienczynę pod brodę, zadyszana (twarz nieobecnie zaaferowana), podskakuje podrygliwie.

Les Oubliettes. Miłe wnętrze, stare żarty (zasiadamy przy Table des Cocus Gascons). Wieczór studentów. Zaczyna się od refrenu:

„Zut, merde, pine et Boxon
Le père — coś tam — est un cochon".

Piwnica tłoczy się młodzieżą i świństwem. Idą godziny napchane klozetowym humorem. Pantomina onanistyczna „Mister Jim" objęła tłum entuzjazmem. Podjudzają chłopcy zamożnego byka, co wszedł właśnie z „kobitką" — „Embrassez, embrassez!..." i potem—„Pelottez, pelottez!" Aż wreszcie rozochoceni — „A poil!!" Byk wyłazi na estradę i pysznie rozpina portki. Fallusisko zawisło nad oszalałą zachwytem Młodą Francją.

„45 Club". Champs Elysées. Szczyty mondain'izmu. Szykowny dancing przedwojnia. W dusznym dymie, w brzęku jazz'u, wodzą się, zasiadają przy koniaku napuszeni ludzie — ciasny pakunek kobiet i mężczyzn drepce, chwieje się na kwadracie posadzki. Bogaci i ich dostawcy nie wymyślili na czas nic nowego — głupio i nierealnie wygląda to kosztowne wnętrze. Obrządek i manekiny poczucia obowiązku. Ale zabawa uleciała z rokiem 1939.

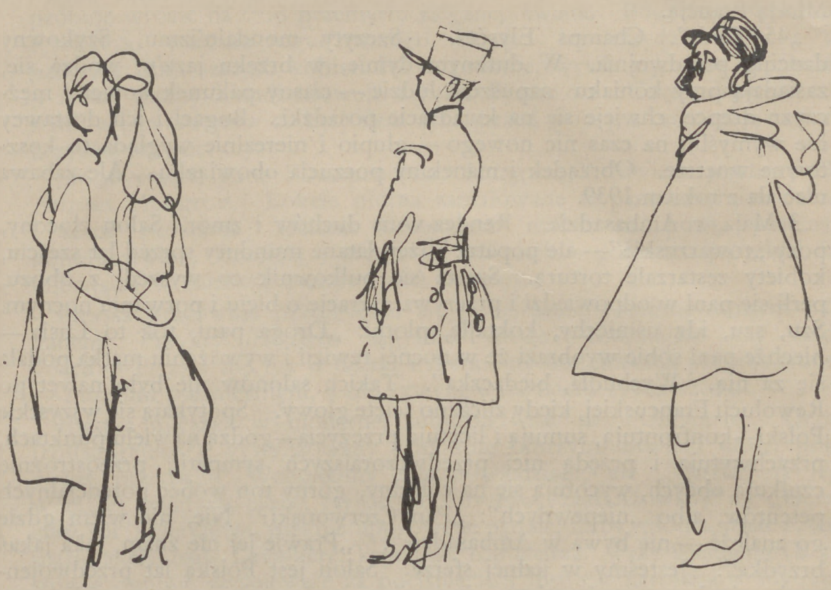
3 Maja w Ambasadzie. Rendez-vous duchów i zmór. Salon złocony, pozy „towarzyskie"— ale popatrz bliżej: łatane mundury sprzed lat sześciu, kobiety zestarzałe torturą. Szasta się pułkownik co wyszedł z obozu, perli się pani w odpowiedzi i przerywa narrację o biciu i porwaniu nocnym. Szu, szu, idą uśmiechy, koktajle, plotki: „Droga pani, toż to Lusia — niechże pani sobie wyobrazi że w nocnej rewizji i wywożeniu matka podała się za nią. Wychudła, biedaczka". Takich salonów nie było nawet po Rewolucji Francuskiej, kiedy zliczano ścięte głowy. Spotykają się wszystkie Polski—konfrontują, sumują i licytują przeżycia—godzą na wielu punktach, przychwytują i przędą nici przedwczorajszych sympatii; przeostrożnie czułkują obcych, wycofują się na chłodny, górny ton wobec potencjalnych petentów, albo „niepewnych": „Pan Czerwoński? Nie, nie wiem gdzie go znaleźć — nie bywa w Ambasadzie". „Prawie jej nie znam, taka jakaś brzydka". Jesteśmy w jednej sferze. Salon jest Polską lat przedwojennych : dyplomata z Londynu, dziennikarz z Ameryki, malarz z Bliskiego Wschodu, oficer dyplomowany z kampanii 1939, wyższy z kampanii włoskiej, niższy z powstania warszawskiego 1944, z niemieckiej kampanii 1945. Hrabina z Francji-Vichy, hrabina z Oświęcimia, z Kairu, pisarka z tajgi syberyjskiej, panie z Urugwaju i Ugandy. Strzaskana burzą oranżeria, mimo przeciągów i wątpliwej pogody, próbuje prostować łodygi, nastraszać się kolorem i fanfaronadą kształtów.

Polak-żołnierz amerykański zaczepi mnie jutro na ulicy i opowie o innej uroczystości: „A ładnie było, bardzo ładne przedstawienie — stół nakryty czerwono co prawda, ale bardzo patriotycznie". Jędrychowski będzie mi tłumaczył, kiedy go spotkam, że przecież stoły zawsze się czerwono nakrywa na akademiach. Drepcząc wokół kolumny Vandôme, w cieniu napoleońskiej glorii, pokłopoczemy się nad czasami co nadchodzą. Rendez-vous z przyszłością.

Inni jeszcze, bezradni chronicznym brakiem „oficjalnych poparć", zasiądą w „La Chaumierè Polonaise" (i, masoneria niespełniona świata, w tysiącach identycznych kawiarenek globu ziemskiego) i będą radzić przeinteligentnie nad koniecznością „intelektualnego odrodzenia", nad przegraną systemów i „potrzebą" wiary, nad rozpaczliwym wykolejeniem Europy...

Piękne są quais wieczorem. Matowo stoją ściany domów na Ile St. Louis. Nôtre-Dame czarną ścianą urody oducza nas zarozumiałości. Łatwo godzimy się że, ba, teraz nic takiego się nie wybuduje (jedna z figur portyku — nigdym tego nie zauważył przedtem — trzyma głowę własną w ręku — Św. Jan? Wychylają się, żeby na nas popatrzeć). Halina

przeszła (poza wszystkim) kosmetyczną operację, kiedy była emisariuszką francuskich maquis. Opowiada żwawo i bez pretensji o strachu, krzywdzie, śmierci i charakterze. Zgłosiła się na policję „za żydówkę" sama, z lojalności dla przyjaciółki i dla prześladowanych. Była już w transportach i w pociągach śmierci. Potrafiła przetrzymać najtrudniejsze próby najheroiczniej — załamuje się dopiero wobec konfliktu dnia powszedniego. „Mocna mogłam być wobec Niemców i policji—teraz jestem słaba, okropnie słaba..." — beczy i na przemian śmieje się łzawo z samej siebie.



Jak zawsze, brytyjska wyspa owinięta ścianą-watą mgły — Anson wdziera się w białości — i wykrywa, na czas, nudny pejzaż Croydonu.

Natkani w ciężarówce (powracający żołnierze) grzmimy przez czarne slums'y niedzielne. Poszarpany bombami spokój. „Welcome Home, Mac!", „Welcome Home, John!" napisy,owinięte w papierowe charągiewki, piętnują gniazdka żołnierskie. Na progach stoją skrępiałe żony — czekają dufnie. Jutro V-day.

7 maja i „nieoficjalny" Victory Day. Miasto nabite tłumem huczy, ale pedek, kurwa,Amerykanin wydzierają się na przód sceny.Ciemność ugadnia widowisko — symbolicznie rozdziera ją rozświetlona kamienica „Simpson's of Piccadilly" — centralizuje tłum — shopkeepers' zwycięstwo i nadzieja. Wracam. Czyste niebo w gwiazdach, ale (są świadkowie) porykuje horyzont — gromadzi burzę.

Łuny bonfires, trzaski petard, dzwon straży ogniowej — narasta złudnie, czy prawdziwie, wojenna scena. Burza już jest nade mną.

Leży na stole odbitka rysunku Dysona z „Daily Herald", 1918: — Wersal — Lloyd George, Clemenceau, Wilson — w rogu płaczące dziecko z napisem: 1940 class. Brutalny tytuł: „Peace and Future Cannon Fodder" podpis: „The Tiger: Curious. I seem to hear a child weeping!"

Powrzaskuje zza drzwi mój nowonarodzony syn.

KAROL ESTREICHER

ZMIANY

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

Ksiądz prałat Matusik był żarliwym kapłanem. Od dzieciństwa gdy pobożnością zwrócił uwagę plebana w Zarzycach, do lat męskich, w których doczekał się powszechnego uznania, wiara nie zachwiała się w nim nigdy. Nigdy szatan nie obudził w nim zwątpienia w kościół katolicki, w jego hierarchię i dogmaty. I gdy dziś zamykając jak codziennie brewiarz spojrzał przez okno w niebosa pogodne a potem na Wisłę płynącą wytrwałym nurtem, był przekonany że tak samo jak niebo i rzeka jego życie ułożyło się dzięki łasce wiary pewnie i spokojnie.

Nie zastanawiał się nad dogmatami. Pocóż miał się zatrzymywać przy tych nieprzystępnych tajemnicach, kiedy wiedział że Ojcowie Kościoła i natchnione Koncylia rozbierały je drobiazgowo, oznajmiając wiernym prawdy w nich zawarte. Nie zastanawiał się nad nimi ani podczas swego czynnego życia, ani dawniej podczas studiów teologicznych w Seminarium i w Akademii Rzymskiej, gdzie tytuł doktora prawa kościelnego otrzymał.

Umysł jego nie był zresztą analityczno-naukowym. Nie zastanawiał się nad prawdami i tajemnicami wiary, bo bał się że będzie musiał zmagać się ze samym sobą, siebie samego przekonywać. A daleki był wszelkiej dialektyce i niewytrwały w dyskusji. Wiedział, i to mu wystarczyło, że modlitwa daje pocieszenie w chwilach ciężkich, że natomiast nie daje go rozum, narzędzie zawodne, niedoskonałe, jak to wielokrotnie u chrześcijańskich filozofów czytał. Więc oparł swoje życie na modlitwie i wierze i na czynach miłosiernych, pod którymi rozumiał przede wszystkim działalność organizacyjną.

Teraz wstając z klęcznika spod ciężkiego krucyfiksu, spojrzał w okno, w świat i usłyszał krzyki dzieci na półkolonii letniej nad Wisłą. Dzwonki tramwajów, szum aut, wołania gazeciarzy, pociąg dudniący po moście, złączyły się w jeden odgłos pociągający i przyjemny, przepojony zapachem czerwcowego południa. Ksiądz Matusik uczuł jakieś podświadome pragnienie, pokusę nieokreśloną, by zmieszać się z tym miastem, wyjść z domu i żyć tak jak oni. I natychmiast odwrócił się od okna.

Zegar wydzwonił trzecią. Czas zabrać się do pracy. W pokoju kwiaty obok figury Matki Boskiej z Lourdes (pamiątce pielgrzymki) swym silnym zapachem przypomniały mu wieś, łąki, ogrody. Nagle odezwał się telefon. Dzwoniła hr. Iza Chroberska, prezeska Związku Związków Katolickich. Ksiądz Matusik odpowiadał:

Tak, nie ulega wątpliwości, że na jutrzejszym zjeździe Związku Katolickiej Młodzieży Akademickiej przemówi. Jeszcze nie wie o czym będzie mówił, lecz prosi aby na zagajenie nie dłużej niż pół godziny zachowano. Oczywiście, że delegatów którzy przyjdą dzisiaj do niego przyjmie i będzie im rad z całego serca. Dzisiaj o piątej po południu.

Położył słuchawkę. Tyle razy już przemawiał. Uchodził za dobrego mówcę. Tyle razy swe doświadczenie życiowe starał się zużytkować i wpłynąć na ludzi i ich naturę, którą tak dobrze znał z konfesjonału.

Byłoby to wszystko możliwe, gdyby nauczanie etyki, wpajanie wiary, ewangeliczność życia jaką Kościół zaleca, nie natrafiała na opory czysto organizacyjnej natury. Gdyby środki były większe, ilość kapłanów znakomitsza, gdyby zainteresowanie i zaufanie do kleru nie było systematycznie obniżane. Życie świeckie kierowane przez kler, wstępowałoby wtedy na drogę właściwą, a nie gubiłoby się w mrzonkach materialistycznej filozofii.

Promień słońca wpadł skosem do pokoju i w jego blasku ujrzał prałat Matusik miliony drobin kurzu tańczące zawrotnie, przelatujące, zderzające się wzajem. I pomyślał, że patrzy na życie, na ambicje, interesa, namiętności i sprawy ludzkie, które jedynie wtedy widzi się właściwie gdy oświeca je promień wiary.

I w swym jutrzejszym przemówieniu postanowił użyć tego porównania.

Lecz zadania kapłana są szersze, ważniejsze niż samo nauczanie czy dysponowanie Sakramentami świętymi, wśród których Sakrament odpuszczenia grzechów wydawał się księdzu Matusikowi źródłem siły Kościoła. Wszak wiara to nie tylko adoracja Boga, ale także walka z szatanem w imię Boże, a szatan uosobiony jest w tysiącach postaci. W tysiącach dusz mieszka i sprawia, że zło zwycięża, zawracając człowieka z dróg prowadzących do zbawienia. Ksiądz Matusik nie wątpił, że wrogowie Kościoła są narzędziem szatana i widział ich wszędzie tam, gdzie broniono dostępu sługom Bożym. Ci co do materii przywiązują wagę, którzy ludzkość uszczęśliwić chcą nie przez zbawienie dusz ale przez zbawianie ciał, są najgorszymi spomiędzy nieprzyjaciół. Z nimi walczyć jest zadaniem żarliwego kapłana, a walczyć nie tylko słowem ale także organizacją czynu.

Krzyki dzieci na plaży wzmogły się. Ksiądz Matusik podszedł do okna. Nieznośmy hałas, wrzaskliwy, ordynarny, podniósł się nagle nad Wisłą ?

Spojrzał przez okno. W dole zobaczył jak półkolonia dzieci robotniczych odchodziła, a na to miejsce przybyła popołudniówka postępowej młodzieży żydowskiej. Znacznie była liczniejsza, a jej członkowie starsi w wieku lat od 10 do 15. Chłopcy zrzucili ubrania i biegali w majtkach. Dziewczęta rozbierały się do koszul, bo kostiumów kąpielowych nie miały. Niektóre dzieci unikały wody, za zimnej dla nich, i krzycząc i gestykulując stały na brzegu. Nie bez zgorszenia dojrzał także ksiądz że młodsze dzieci biegły nago do rzeki, i dojrzał nawet jak jeden z chłopców uczynił nieprzyzwoity gest.

Odkąd zamieszkał w domu kanoniczym, którego tylne okna wychodziły na Wisłę, po raz pierwszy w tym roku zorganizowano te kąpiele młodzieży, które wpłynąć muszą ujemnie na moralność płci.

Rozumie się, że małe dzieci z ochronek mogą się kąpać razem. Lecz dzieci ponad lat osiem, wiedział to z konfesjonału, zdradzają ciekawość erotyczną i dlatego jakże niewskazana jest koedukacja, jakże zgubne są te nowe metody pedagogiczne, o których czytał ostatnio w Przewodniku Kapłańskim. I oczywiście, jak zawsze przewodzą im organizacje żydowskie, skłonne wszędzie stosować metody obce społeczeństwu polskiemu, przywleczone razem z materialistycznymi poglądami socjalnymi. Co gorsza znajdują one poparcie wśród nauczycielstwa polskiego, w prasie o zabarwieniu socjalistycznym i komunistycznym, która naigrawa się z Kościoła i wiary. Ksiądz Matusik zawrzał gniewem.

To także musi jutro powiedzieć. Lecz powiedzieć to mało, trzeba działać natychmiast poprzez młodzież, której przedstawicieli z całej Rzeczypospolitej zobaczy na zjeździe. Trzeba tej młodzieży wskazać niebezpieczeństwo i trzeba jej wskazać wzór postępowania.

Oto co zauważał ksiądz:

Hałas za oknem wzmógł się. Młodzież żydowska rozpoczęła grać w piłkę, biegając i skacząc bez wdzięku, bojąc się każdego ruchu. Dzieci z suteryn Pragi o ileż zręczniej skakały przy siatce niż te chuderlawe, pejsate, z czerwonymi oczami chłopaki z Gęsiej, które dni całe spędzały przy lampie, wykonując wraz z rodzicami towar tani i oszukańczy. Grymasy i dzikie śmiechy zastępowały odwagę i zręczność, przesadne ruchy miały w sobie coś karykaturalnego. Wokół grających chłopców ustawiły się kołem dziewczyny i chrapliwym śmiechem podniecały ich do gry coraz głośniejszej i coraz bardziej nieskoordynowanej.

Ksiądz Matusik nie znał się na sportach. Lecz zarówno Przewodnik Kapłański jak obfita literatura katolicka podnosiła wartość sportu jako

pedagogicznego czynnika. Kiedy ostatni raz odwiedził stolicę świętą, był świadkiem sportowego pochodu młodzieży robotniczej, która w karnym ordynku ze śpiewem za króla, ojczyznę i wiarę katolicką szła przez ulice miasta, wzbudzając powszechny podziw. W prasie katolickiej czytał ksiądz prałat o zgnieceniu groźnych ruchów społecznych bolszewizmu i socjalizmu przez te właśnie organizacje młodzieży, ujęte w wojskowe kadry. Nie spotkał we Włoszech niebezpiecznych mrzonek międzynarodowych wszelkiego rodzaju za którymi wyczuwał niechęć do duchowieństwa wszystkich wyznań, a przede wszystkim do duchowieństwa katolickiego. Nauczycielstwo włoskie poddane jednemu prądowi i jednej myśli politycznej, wychowywało młodzież w szacunku dla religii i księży. Nikt kościołów tam nie palił, księżom nie groził mordem.

Nie ulegało wątpliwości dla ks. Matusika, że jeśli lęgną się doktryny społeczne grożące duchowieństwu wyrżnięciem, zamianą kościołów na kina i czytelnie jeśli nie na stajnie i domy publiczne, to siłą bronić się trzeba przed nimi. Że jak człowiek napadnięty ma prawo i obowiązek sięgnąć po broń, tak i społeczeństwo ma prawo stworzyć ustrój co siłą odpowie na siłę i powstrzyma idee dziejowego materializmu.

Sięgnął pamięcią w dzieje Kościoła, matki naszych uczuć religijnych. Nie pierwszy raz przychodzi Kościołowi zwalczać nowinki i herezje. Święta Inkwizycja uratowała Hiszpanię przed zalewem Islamu i działalnością destrukcyjną Żydów. Wielki ruch kontrreformacyjny wysunął ludzi takich jak św. Ignacego, św. Karola Boromeusza, świętą Teresę z Karmelu. W Polsce kardynał Hozjusz i Piotr Skarga to niezapomniane postacie wojowników za wiarę. Wojowników którzy walczyli słowem i czynem, wspomagając i organizując Kościół. Wielkie przykłady przeszłości. O nich powie jutro.

Wziął do ręki tom Encyklopedii Kościelnej aby się przygotować. Nie pamiętał bowiem dobrze dat i faktów historycznych. Doszedł w ciągu czytania do wniosku, że mimo czystych i jasnych intencji jakie kierowały św. Inkwizycją, lepiej dzisiaj nie wracać do tych zdarzeń i czasów. Zbyt odległe one. Za to dobrze przypomnieć będzie wiarę, którą w Polsce rozpalił na nowo Piotr Skarga, a która dopomogła do wielkiego zwycięstwa pod Wiedniem. Dobrze przypomnieć że zwycięstwo katolicyzmu w Polsce rozpoczęło się od zdobycia młodzieży, od zdobycia szkół. Tak, tak, zdobycia.

Wiara i miłość ojczyzny idą zawsze razem. Uczucia patriotyczne i uczucia religijne wiążą się w jeden węzeł i nawet Chrystus Pan nie był wolny od miłości ojczyzny. Wszak patriotyzm kierował nim gdy do Jeruzalem wjechał uroczyście, a wielki lud słał szaty swoje na drodze, a inni obcinali gałązki z drzew i rzucali mu pod stopy.

I otworzywszy ewangelię świętego Mateusza na rozdziale XXI czytał ksiądz Matusik raz jeszcze wygnanie kupców ze świątyni, które rozumiał jako słuszny gniew Pański przeciw bezbożnym. I tak postanowił ten ustęp wyłożyć.

Nie ulegało dlań wątpliwości, że to co powie jutro będzie nowe i oryginalne. Lecz równocześnie nie może jako kapłan w przemówieniu publicznym iść za daleko w krytyce ani tym bardziej w gniewie, gdyż mogłoby to być uważane za polityczną działalność i obciążyć nią katolickie organizacje samopomocowe, które tak świetnie rozwijały się pod jego kierownictwem. Zwłaszcza organizacja związków katolickich, której prezeską była hrabianka Chroberska, przynosiła dochody, dzięki trzydziestu kooperatywnym sklepikom, sprzedającym wyłącznie towar chrześcijańskich wytwórni lub ściślej towar od chrześcijańskich dostawców. Dochód przyniósł w ostatnim roku przeszło 30 tysięcy, które prałat Matusik oddał na żłóbki dla niemowląt.

Jeżeli w Warszawie zyskał popularność, jeśli nawet wysuwano jego nazwisko jako kandydata do Rady Miejskiej, to właśnie dzięki znakomitej

organizacji samopomocowej, jaką rozwinął. Dzięki owej pracy codziennej, precyzyjnej, wytrwałej, organizacje katolickie pod jego zarządem były finansowo niezależne zarówno od Rządu jak, co było może nawet ważniejsze, od Episkopatu. Prasa katolicka i zbliżona prasa narodowa, wysuwała jego stowarzyszenia jako wzór godny naśladowania, a nawet socjalistyczny minister opieki społecznej pochwalił go w przemówieniu. Więc nie może jako kapłan mieszać się za daleko w polityczne waśnie i rozgrywki. Musi się od nich odciąć, lecz powinien na nie mieć pewien wpływ.

Młodzieży trzeba rzucić ideę, która zostałaby przez nią podjęta. Nic nie powinno wyraźnie wyjść od niego. Niechże młodzież ma przekonanie, że sama doszła do pewnych wniosków i niech przewódcy jej wierzą, że są twórcami nowej ideologii.

Przypomniał sobie faszyzm : geniusz włoski wydał ten niewątpliwie najwspanialszy ruch naszego stulecia. Obudził się duch dawnych Rzymian, zrodził Cezara, który powołał naród, natchnął go entuzjazmem, zwalczył masonerię i bolszewizm, ośmieszył socjalizm i liberalizm. Świat zazdrości Włochom człowieka co wyszedł z ludu i ma w sobie moc i siłę kowala.

Ksiądz Matusik przypomniał sobie także artykuł w Przewodniku Kapłańskim napisany z powodu strajku robotników warsztatowych w Łodzi. Przewodnik Kapłański stwierdzał, że położenie robotników wymaga poprawy, zwłaszcza po małych fabrykach i równocześnie ostro atakował właścicieli tych właśnie warsztatów, mówiąc wyraźnie o ich obcym pochodzeniu plemiennym. Zło zdaniem Przewodnika tkwiło właśnie tu oraz w agitatorach, którzy zamiast bronić interesów robotniczych wolą atakować duchowieństwo i wiarę. Jedyną odpowiedzią na te niedomagania społeczne byłoby ujęcie robotników warsztatowych w ramy organizacji o typie zbliżonym do tego, którego wzory widzimy we Włoszech.

Tak, Włochy a raczej Italia jak ksiądz Matusik postanowił obecnie mówić o narodzie, z którym Polska nie miała nigdy żadnych sporów, lecz z którym przeciwnie tyle nici wiązało ją w przeszłości. Ten wzór organizacji i porządku trzeba rozsławiać, trzeba uczynić dlań propagandę, pozyskać zwolenników. Przede wszystkim zaś trzeba aby wybitna grupa młodzieży polskiej owe Włochy zobaczyła.

Ksiądz Matusik był człowiekiem decyzji i energii. Więc natychmiast połączył się z konsulatem włoskim i uzyskał rozmowę z samym konsulem, któremu nadwiślańską włoszczyzną, zalatującą mocno łaciną, wytłumaczył swój zamysł i pragnienie. Uzyskawszy zapewnienie że ze strony konsulatu zostanie zrobione wszystko by ułatwić wyjazd do Italii młodzieży polskiej, obliczył ksiądz Matusik, że za stosunkowo bardzo tanie pieniądze będzie mógł przewieźć do Rzymu znaczną ilość młodzieży szkół wyższych, która przez sześć tygodni pozna ideały i metody Italii. Nie będzie to zresztą podróż polityczna lecz pielgrzymka religijna, którą w Watykanie przyjmie Ojciec Święty. Cel religijny postawiony być musi na pierwszym miejscu. Tak będzie ze wszech miar lepiej.

Siadł natychmiast do maszyny i napisał kwestionariusz pielgrzymki, który odbity na powielaczu, zostanie rozdany jutro między młodzież. Równocześnie obliczył, że w Kasie Oszczędności posiada trzy tysiące złotych, przesłanych do jego dyspozycji przez Koło Działalności Katolickiej we Włocławku, których to pieniędzy postanowił użyć dla obniżenia ceny kosztów podróży. Napisał także list do swego drogiego przyjaciela z lat dawnych, księdza prałata Anzelma Carraccioli, piastujacego poważny i odpowiedzialny urząd pierwszego sekretarza w Palazzo di Propaganda Fide.

Potem uspokojony wewnętrznie, ugasiwszy żar działania, zadowolony z myśli które uporządkował i z akcji jaką rozwinął, wyjął z szuflady w biurku plik dokumentów i zagłębił się w ich czytaniu. Miał ocenić wnioski w sprawie o unieważnienie małżeństwa pułkownika Wolańskiego. Adwokat przedstawił wiarygodnych świadków na dowód, że ślub zawarty już po wojnie z pielęgniarką szpitalną był nieważny, lecz ksiądz Matusik

miał swoje podejrzenia. Otrzymał poufną wiadomość, że pułkownik porzucał żonę dla młodej i głośnej aktorki.

Obok aktów małżeńskich pułkownikowstwa, mieściła się sprawa małżonków Anny i Jana Gąślików robotników na Pradze, budząca odrazę wulgarnością. Gąślik żył nielegalnie z właścicielką sklepiku za Dworcem Wileńskim. Chciał unieważnienia swego małżeństwa z żoną, z którą miał troje dzieci, tylko dlatego by dziedziczyć po starej konkubinie sklepik. I co gorsze czynił to z namowy żony.

Ksiądz Matusik przeczytał uważnie akta obu spraw. W obu wypadkach legalność sakramentu małżeństwa mogła być zaczepiona i zręczni adwokaci wysunęli odpowiednie wątpliwości.

Lecz w obu wypadkach należy spróbować wszystkich środków, by związki raz zawarte podtrzymać. Pułkownika Wolańskiego ksiądz Matusik znał i cenił wysoko jako dzielnego oficera w czasie wojny i dobrego katolika. Może namiętność jaką żywi dla lekkomyślnej aktorki, ustąpi pod wpływem perswazji, popartej odpowiednimi argumentami. Co prawda małżeństwo Wolańskiego było bezdzietne, lecz niemniej nie powinno to ułatwiać unieważnienia sakramentu. Wolański na pewno nie porzuci wiary, bo jako ambitny, dążący do kariery politycznej wojskowy wie, że zaszkodziłoby mu to tylko. Tak samo Gąślik nie weźmie odszczepieńczego ślubu, bo stara sklepiczarka przywiązana jest do religii rzymsko-katolickiej. Jeśli krok Gąślika podyktowany jest nędzą, przede wszystkim trzeba jego i jego żonę z tej nędzy wyciągnąć.

Nierozerwalność węzła małżeńskiego, konieczność obrony tych fundamentalnych praw, które rodzinę wiążą, a przez nią Kościół podtrzymują, wystąpiła jaśniej niż kiedykolwiek przed księdzem Matusikiem. Tu właśnie widział potwierdzenie przekonania że ustępować przed złem nie wolno, nie należy, choćby miało ono za sobą pozory prawne, które złudzić mogą sądy duchowne. Wpływy pułkownika Wolańskiego poprzez kancelarię Prezydenta sięgały co prawda daleko, nie były jednak w stanie naruszyć sumienia prałata Matusika. Sprawa małżonków Gąślików była prostsza. Żadna nędza, nawet ta w jakiej żył Gąślik z rodziną, nie powinna była matki-katoliczki skłonić do tego by godziła się na rozejście z małżonkiem. Jeśli to czyniła, to dlatego że umysł jej był przez nieszczęścia zaciemniony, a poczucie moralne spaczone.

Ksiądz Matusik nie wątpił jakie przyjdzie mu zająć stanowisko. Nie wahał się ani przez chwilę, bo w sumieniu widział jasno cele ziemskie, które rozbijały obie rodziny.

Lecz nie wystarczy tylko odmowa. Jego obowiązkiem jest uczynić wszystko by zapewnić z powrotem połączenie się małżonków i nie tylko namową podziałać na nich lecz również wpłynąć czynem, dopomóc im.

Znowu ujął za słuchawkę telefoniczną. Działał szybko, decyzję przeprowadzając konsekwentnie. Tym razem westchnąwszy spojrzał na posąg Matki Boskiej, prosząc o pomoc patronkę rodzinnego życia.

Najpierw zadzwonił do parafii na Pradze. Prosił pod nieobecność proboszcza by wikary wejrzał w stosunki rodzinne Gąślików, które istotnie budziły współczucie swą nędzą. Związek Związków Katolickich zaopiekuje się Gąślikową. W sklepie kooperatywnym na Mokotowskiej jest do objęcia posada pomywaczki, szczególnie dobrze płatna jeśli się zważy że to praca wyłącznie ranna. Żłóbek św. Antoniego na Woli przyjmie najmłodsze dziecko Gąślików, a dziewczynka ma zapewnione miejsce w szkole Felicjanek w Wyporowie. Chłopczyk powinien narazie zostać przy rodzicach. Jeśli Gąślik weźmie się porządnie do pracy to za rok może zostanie dozorcą w składach przy Dworcu Wileńskim.

Potem zadzwonił do hrabiego Ankwicza prezesa Klubu Narodowego w Sejmie. Prosił go o pośrednictwo w delikatnej sprawie osobistej pułkownika Wolańskiego, którego sfery katolickie stolicy poważają za stałość przekonań narodowych i religijnych. W najbliższym czasie trzeba

będzie przystąpić do wielkiej akcji polityczno-społecznej która ideały narodowe i religijne wysunie na plan pierwszy. Zbliżające się wybory zmuszają wszystkich dobrze czujących Polaków by działać. Człowiekiem który może oddać cenne usługi sprawie jest właśnie pułkownik. Tak dalece jak on, ksiądz Matusik widzi przyszłość, rachuje na współpracę pułkownika z odłamem młodzieży katolickiej. Prosi zatem hrabiego aby pułkownik wraz z żoną wziął udział w pielgrzymce do Rzymu, która niebawem nastąpi. Z żoną, koniecznie z żoną, hrabia rozumie.

Zegar wydzwonił godzinę czwartą i pół. Słońce skłoniło się ku zachodowi, w pokoju uczyniło się duszno. Ksiądz Matusik podszedł do okna otworzył je i zobaczył że dzieci żydowskie na plaży wiślanej leżały spokojnie, wdychując w wątłe płuca dobroczynne promienie słońca.

I nagle uczuł w sercu swoim litość. Litość że owe dzieci nigdy nie zaznały prawdziwej wiary, że nie zetknęły się z tymi ideałami które taką siłę i odpór dały w życiu jemu. Przypomniał sobie własne dzieciństwo, nędzę czworaków dworskich, gęsi które pasł, starą żebraczkę co nauczyła go modlić się do przydrożnej figury.

Przypomniał sobie gdy skopany, zbity przez gospodarskich synów za to że chciał z nimi razem wybierać pisklęta poszedł modlić się do Boga tak jak go stara żebraczka nauczyła. Pamiętał dobrze że doznał wtedy olśnienia i uczucia iż łaska Boża spływa na niego.

Za dobro, co w życiu jego oznaczało pogodę, ciszę i możność pracy uczuł jeszcze większe przywiązanie do Boga. A zarazem podniósł się w nim gniew przeciwko tym wszystkim, którzy jasno nie widzą tego co on widzi. Gniew święty, mocny, sprawiedliwy.

Znowu wieś mu się przypomniała. Lecz tym razem lata pracy na niej, jako wikarego najpierw, potem jako proboszcza. Wzrastające problemy społeczne jakich za jego młodości nie było. Nowinki nierozważne, namiętności podsycane, zawiści i zazdrości o cudze, o pańskie i księżowskie przede wszystkim. Wojna przysporzyła tych strapień. A raczej gdzieś ze Wschodu idące, niejasne szumy rewolucyjnych przemian.

Gdzie przyczyna tych zjawisk? Dlaczego tak? Nędza? Ależ nędza była zawsze i pytanie czy umysł ludzki jest w stanie ją zwalczyć. Lata urodzaju, lata dobrobytu pochodzą od Boga, niezależne są od człowieka. Dawniej było gorzej, bywało za pańszczyzny znacznie gorzej. Dziadek prawił o pańszczyźnie księdzu Matusikowi, a tak barwnie i prawdziwie rysował ją przed dzieckiem, że księdzu zdawało się że sam ją pamięta.

Nędza zresztą po wsi zmniejszała się z dniem każdym, z rokiem każdym kiedy do fabryk ludzie zaczęli chodzić. A nie zmniejszała się nienawiść do pana ze dworu i do księdza z plebanii, lecz przeciwnie wzrastała. Dlaczego tak się działo? Dlaczego?

Ludzie źli złe przynosili idee. Miast miłości chrześcijańskiej uczyć jak księża uczyli, przybywały skądsiś wieści o równej dla wszystkich własności. Kto je przywoził, jak mogły dostawać się między lud, że ksiądz o tym nie wiedział?

Czuł będąc wikarym, plebanem wiejskim, obecność jakichś cieni społecznych, jakichś oporów nieuchwytnych, nieokreślonych jak owa nieufność chłopska, której i on sam całkowicie się nie pozbył co mu nawet arcypasterz diecezji wśród przyjacielskiej rozmowy wypomniał.

Zło nie było na wsi. Zło było w mieście. Stąd chłop przywoził owe idee, tu zwalczać je trzeba było. I tak ksiądz Matusik znalazł się w mieście. Czuł że zdziałać tu będzie mógł więcej, że żarliwość swej wiary tu zaspokoi czynem.

Spojrzał raz jeszcze na mrowie bachorów żydowskich, leniwie do słońca wyciągniętych i teraz już nie litość ale żal go ogarnął, że zmarnowano wieki a nie pozyskano narodu tego dla wiary. Bo gdyby przyjęli prawdziwą religię, gdyby łaski chrztu oczyszczającego doznali nie byliby tak ślepi jak są...

A on chłopski, nędzny syn czemuż nie czuje się związany z proletariatem wsi i miasta, jak owi agitatorzy co wrzeszczą po wiecach? Przecie ludzie nędzni, ubodzy, gniewni i zazdrośni to jego klasa społeczna, to jego rodzina, bracia, siostry, których nie wypiera się bynajmniej, ale... Dlaczego?

W tej chwili dobiegły go głosy dzwonu dalekie, kościelne, od św. Jana czy Wizytek i zdało się księdzu Matusikowi że to znak i odpowiedź na jego ostatnie pytanie tak hardo przed nim wyrastające. Znowu Bóg go oświecał, znowu Bóg odpowiadał mu, wskazując na Kościół swój jako na źródło łaski i poznania.

Otrząsnął się. Nie chciał rozumować dalej, bojąc się tego rozumowania które mogło zawieść go za daleko.

I był rad gdy do pokoju weszła Augustynka, uśmiechnięta, pogodna, siwa, wierna opiekunka jego życia. Już lat trzydzieści szli razem i mieli dla siebie wzajemną głęboką życzliwość, ludzi zadowolonych z siebie. Odziedziczył Augustynkę ks. Matusik po nieboszczyku księdzu kanoniku Wierzbickim i dziś, choć staruszka nie zawsze podołać mogła pracy w kuchni i przy domu, nie pozbyłby się jej.

— Kawę księże prałacie podać?

Spojrzał na zegar.

— Może zaczekam chwilę i wypiję razem z delegacją młodzieży.

— A to będą goście?

— A jakże, będą Augustynko.

— Czemuż ksiądz prałat nic nie powiedział? Czepek mam stary, fartuch poplamiony od roboty...

— No to teraz mówię. Przyjdą za kwadrans, trzeba im dać dobrej kawy z babką i wina. Niech się tam młodzież napije.

— Żebym to wcześniej wiedziała byłabym co upiekła. A które wino podać?

— Może to czerwone...

— Ale niech ksiądz prałat swoją kawę wypije zaraz, bo dla gości takiej kawy nie podam...

II.

Stanisław Wojniłłowicz szedł Krakowskim Przedmieściem i miał przed sobą dwie godziny czasu a za sobą dwadzieścia dwa lat życia. Wiek piękny, w którym życie wydaje się nieskończone, czas upływa wolno, troski znikają prędko, zwłaszcza jeśli się jest młodzieńcem zdolnym, inteligentnym, z dobrej rodziny i niezależnym finansowo. A takim był nasz bohater.

Nawet ci spomiędzy przyjaciół, którzy lubili go krytykować za tę właśnie materialną niezależność przyznawali mu szlachetny charakter. Jakoś samo z siebie wypływało, że wybierano go prezesem rozmaitych stowarzyszeń i organizacyj uniwersyteckich. Był dla wszystkich przystępny i przyjacielski, był wyrobiony towarzysko co wyrażało się w łatwej i prostej intonacji głosu. Nie mieli tego ci spomiędzy jego kolegów, którzy wyszli ze sfer chłopskich czy robotniczych.

Wojniłłowicz pochodził z Ukrainy. Tam to przed wojną światową i przed rewolucją „Woyniłłowicze, ród zacny szczególnymi zasługami dla Rplitej odznaczony" — jak pisały herbarze — posiedli dobra pod Żytomierzem, które Stanisław znał i z opowiadań i z pamięci. Ojca stracił wcześnie i wychowany był przez matkę Chroberską z domu, osobę wysokiej kultury, która w rodzinę męża wniosła nie tylko charakter i wykształcenie ale i majątek. Rewolucja rosyjska wyrzuciła ją razem z synem w Odessie, skąd znalazła się wreszcie w Warszawie. Dodajmy od razu, że przyjechała z kilkunastu tysiącami angielskich funtów zaszytymi w starym futrze. Stało się to dzięki mężowi. Bo ojciec Stanisława był anglomanem co wyrażało się w tym, że często jeździł do Anglii skąd przywoził maszyny

rolnicze, których ekonomi nie umieli używać i rasowe bydło nie przetrzymujące zimy ukraińskiej. Był także właścicielem stajni wyścigowej i nosił ubrania szyte przez londyńskich krawców. Dwór w Wierzchówce urządzony na wzór szkockiego „manor house'u" zawieszony był rycinami i obrazami angielskimi. W salonie leżał zawsze Times a pan domu lubił palić fajkę przy kominku. I choć nic nie robił naprawdę, buraki i cukrownia przynosiły dochody tak wielkie, że ojciec Stanisława uchodził za wzorowego gospodarza. Wierząc w Anglię która zawsze wojny wygrywa, na jesieni w roku 1914 sprzedał stary Wojniłłowicz angielskiemu bankowi w Odessie akcje naftowe w Baku a sprzedał, czemu dziwiono się wówczas wielce, za funty nie za ruble. I spokojny o los żony i syna wkrótce potem umarł na złośliwy reumatyzm, nabyty także w Anglii.

Wielokrotnie z mniejszymi lub większymi szczegółami słyszał tę historię Stanisław, opowiadaną przez matkę, która w synu starała się wzbudzić szacunek dla ojca. W jej opowiadaniu mąż był przede wszystkim człowiekiem rozumu politycznego. Nie wspomniała tylko, że owe funty sterlingi kupił ojciec Stanisława, bo wojnę chciał spędzić w Anglii gdzie grywał na wyścigach (lekkomyślność jakiej nigdy oduczyć go nie mogła!), a że cały ciężar gospodarowania w Wierzchówce, w Horobrzegach i w Iwanpolu i na przyległych folwarkach spoczywał na niej. Ale kilkunastoletni Staś (może mówił mu to stary pan Czarniecki?) domyślał się czegoś, bo nieraz zadawał matce kłopotliwe pytania: czemu wuj Tadeusz Bobrowski ojca nie lubił, dlaczego wyśmiewano się z ojca że majątek mierzy akrami angielskimi, lub dlaczego ojciec skoro był dobrym Polakiem był tak bardzo przywiązany do wspomnień z petersburskiego korpusu paziów gdzie się wychował. A że pytania były logiczne więc pozostawiała je bez odpowiedzi. Zresztą uważała, że nie należy zbytnio rozwijać dzieci odpowiadając im na pytania. Życie tyle pytań zostawia bez odpowiedzi...

Stanisław otrzymał staranne wychowanie. Jeszcze „w domu" jak matka mawiała o Ukrainie panna Milliou od kolebki wyuczyła go francuskiego, a ojciec dbał o to by mówił także po angielsku. Po przyjeździe do Warszawy posłano go do wzorowego gimnazjum, a że chłopiec był pojętny i obdarzony pamięcią, więc lata szkolne stracone przez tułaczkę wojenną, nadrobił szybko.

Pięć ostatnich lat swego życia pani Wojniłłowiczowa spędziła pracowicie oddana zabezpieczeniu resztek uratowanego majątku i wychowaniu syna. Dopięła obu rzeczy tak jak można było najlepiej. Browar w Błażejowie, cementownia pod Krakowem, a wreszcie piękna kamienica na Marszałkowskiej przynosiły dochody pewne i regularne. I tym razem nie zapomniała pani Ewa lekcji o funtach angielskich. Mały rachunek w Banku Lloyda w Londynie, był wiadomy tylko jej i jej adwokatowi.

Lecz o wiele ważniejsze niż wszystkie sprawy świata było dla pani Wojniłłowiczowej religijne wychowanie syna. Pilnowała starannie by przeszedł przez wszystkie stopnie katolickiego wychowania. W Wierzchówce ojciec Jezuita, w Odessie podczas wojny l'abbé z francuskiej misji, w Konstantynopolu ksiądz franciszkanin, udzielali lekcji religii potomkowi znakomitej rodziny. A Stanisław był wierzącym i praktykującym, bez zbytniej egzaltacji o co także matka dbała, pragnąc syna widzieć człowiekiem świeckim.

Na Uniwersytet zapisał się na prawo. Wzorem ojca, który po wystąpieniu z korpusu paziów ukończył szkołę prawowiedów i miał najlepsze przygotowanie do obywatelskiej kariery. Gdy Stanisław był na drugim roku Uniwersytetu umarła matka. Spotkał go cios niespodziewany, bo matkę kochał i wielbił, był z niej dumny i kierował się zawsze jej radami. Młodym człowiekiem do czasu pełnoletności zajęła się rodzina, a zwłaszcza siostra matki ciotka Iza, stara panna, oddana pracy społecznej. Ona uporządkowała sprawy spadkowe, ona pokaźny majątek złożyła w ręce

najlepszych mecenasów stołecznych i teraz Stanisław mieszkał z nią, zajmując piękne mieszkanie w śródmieściu.

Szły lata. Z latami zmieniał się jego stosunek do świata wśród którego wzrósł i sfery z którą był związany. Goście ciotki, kresowe panie wspominające dawne „przedwojenne" czasy i panowie narzekający na społeczne stosunki w Polsce nudzili go coraz bardziej, a przekorą wiedziony nieraz dyskutował z nimi i wygłaszał poglądy, w które sam nie bardzo wierzył. Ale potrzebą jego umysłu były dyskusje, krytyczny i własny stosunek do zjawisk, tak charakterystyczny dla młodego wieku. Rewidował własne poglądy i poglądy swego otoczenia i wszędzie znajdował niekonsekwencję. To raziło jego poczucie sprawiedliwości i przyrodzoną mu szlachetność. Mówiono dużo o ideałach chrześcijańskich przy nim. Wpajano je w niego. A tymczasem ci sami ludzie, których spotykał w salonie ciotki z nienawiścią odnosili się do postępowych doktryn politycznych, namiętnie krytykowali wszystkich przeciwników, u wszystkich wietrząc nieuczciwość, zdradę, korupcję, brak religijności.

Ale lata wychowania, dzieciństwo spędzone przy matce, szczęśliwe wspomnienia rodzinne, tradycja rodu i nazwiska, poczucie wyższości które dawało mu wykształcenie i majątek były węzłami zbyt silnymi by miał je porzucić. I wreszcie nie czuł sił dostatecznych dla przeprowadzenia walki w imię czegoś co wyczuwał, ale o czym nie wiedział.

Tak więc był młodzieńcem wzorowym, jednym z tych którzy bywają nadzieją i dumą społeczeństw o ustalonych warunkach bytu. Miał za sobą prezesurę Katolickiego Związku Młodzieży „Przyszłość", miał trzy dobrze zdane egzamina, parę artykułów politycznych, dwie niewinne awantury miłosne, które zostawiły mu niesmak, podróż z ciotką do Paryża, temperament nierozbudzony w żadnym kierunku, a zinteresowanie w każdym. Był idealnym materiałem na ojca rodziny, urzędnika czy męża stanu, który będzie wszędzie i przez wszystkich popierany. I takim widziała go ciotka i takim widzieli go przyjaciele i koledzy.

Był przystojny bo był wysoki, zdrów i silny. Miał twarz okrągłą, pełną, rumieńce na policzkach, oczy ciemne i jasne włosy. Mówiono że ma typ arystokratyczny Chroberskich, którzy wywodzili się z Sandomierskiego, z rodu Tarnowskich i Morsztynów. Spojrzenia dziewcząt i kobiet potwierdzały że był przystojny, ale Stanisław długo czuł się nimi zawstydzony. Opory religijnej natury grały silnie w jego duszy i nie szukał awantur miłosnych, nie wypełniał marzeniami erotycznymi samotności bo nie był w tym kierunku rozbudzony. Wychowany wśród kobiet, nabył jakąś wstydliwość kobiecą, która (nie wiedział o tym) dodawała mu wdzięku.

Znał akt miłości, bo parę razy „zgrzeszył" jak w myślach nazywał swe przygody z kobietami. Ale zdarzyło się to przez ciekawość, przez przypadek, przez naśladownictwo kolegów, przez ambicję więcej niż przez głos natury. Dopiero od niedawna sny niespokojne i zawstydzające zjawiały mu się po nocach i nawet z ich powodu wcześniej niż zazwyczaj poszedł do wielkanocnej spowiedzi.

Nie kochał się nigdy. Czym jest uczucie wyłączności, miłość namiętna i nerwowa w stosunku do jednej kobiety tego nie rozumiał i śmieszyły go po trosze francuskie romanse o miłości, które ciotka lubiła czytać, a które jak twierdziła czytała tylko z musu cenzurując książki do czytelni katolickich. Wolał literaturę polityczną i społeczną, którą łykał szybko i powierzchownie z góry przystępując do niej z uprzedzeniem, że musi być fałszywa skoro nie ma za sobą poparcia Kościoła. Ale nie mniej argumentami z niej czerpanymi lubił drażnić starszych. Robił się coraz bardziej wygadany „jak owi agitatorzy socjalistyczni", co zauważył raz stary pan Czarniecki.

Był Stanisław niezapisaną kartą, kartą może nie tyle białą ile bezbarwną i byłby może ku zadowoleniu ciotki i przyjaciół rodziny takim pozostał,

byłby może uświetnił ród z którego wyszedł, a krajowi przyniósł chlubę i byłby po najdłuższym życiu doczekał się pięknego nekrologu w Kurierze Warszawskim, w Czasie i w Dzienniku Poznańskim gdyby nie utajone siły które istniały w nim, a o których sam nie wiedział. I gdyby nie czasy w których żyjemy, a które ludzi przemieniają, mielą i nicują wbrew ich woli, wydobywając z nich wartości odmienne.

Pamiętamy wszyscy owe czasy. Ale nie wszyscy zdajemy sobie sprawę czym były lata pokoju między dwiema światowymi wojnami, co znaczyły w życiu polskim i dokąd nas prowadziły. Były to lata upojenia wolnością i lata troski gospodarczej. Lata wyrabiania się Polaków i ich niewyrobienia. Były to lata przerzucania się z jednej ostateczności w drugą, lata pracy organicznej i lata życia nad stan. A w każdym razie lata snu, że niewola nie wróci.

Tak samo jak całe społeczeństwo wierzył i Stanisław. I na tym tle pragnął, żywił ambicję, aby wystąpić publicznie, wybić się, działać, wpływać i decydować. Z urodzenia i wychowania a z braku całkowitego doświadczenia przypuszczał, że kariera dyplomaty będzie dlań jedyną właściwą drogą, w której szybko znajdzie uznanie i zadosyćuczynienie.

Mylił się w jednym. Oto żądał od życia konsekwencji, tak jak żądał jej od samego siebie. Jak w stosunku do siebie szedł prostą drogą wiodącą od pewnych zasad do czynów, jak odrzucał czy starał się odrzucić wszystko to co przeczyło tradycji i wierze w której wzrósł, tak samo przypuszczał, że życie jego ułoży się w logicznym porządku następstw.

I teraz idąc Nowym Światem na spotkanie z kolegami był zadowolony z siebie, z programu na najbliższe dni w którym nie widział, nie podejrzewał żadnych trudności. Dlatego przystanął przed wystawą sklepu Old England. Matka bowiem nauczyła go by tutaj kupował rzeczy, które są zawsze dobre zarówno w gatunku jak w smaku.

Musi sobie kupić spodnie tenisowe, flanelowe, mocne, które trzymać się będą dobrze w pasie. Miał co prawda dwie pary ale zniszczone i niewygodne. Chciałby mieć te dobrze skrojone na jego za długie nogi.

Wszedł do sklepu. Ostatni raz był tu z matką, która otworzyła dla niego rachunek. Od roku nie zaglądał tu a nowe koszule kupiła mu ciotka.

W sklepie było kilka osób. Wojskowy i młoda blondynka wybierająca angielskie perfumy. Stanisław ukłonił się pułkownikowi Wolańskiemu. Równocześnie podbiegł doń usłużny właściciel.

— Moje uszanowanie panu hrabiemu!

Reakcja Stanisława była niespodziewana. To prawda że posiadał tytuł, ale nigdy go nie używał. A nie używał go dlatego bo wyczytał gdzieś, że otrzymali go Wojniłłowicze w roku 1796 wraz z grupą szlachty żytomierskiej, która nie tylko podpisała akt Targowicy, ale wystosowała adres czołobitny do carowej prosząc ją o opiekę przed rebeliantami z Warszawy. Pamiętał, że gdy dowiedział się o tym, wstyd palił mu policzki, że nie spał całą noc i płakał, że potem długo dyskutował z matką, która tłumaczyła mu, że owe podpisy były wymuszone a tytuł należał się Wojniłłowiczom bo byli kniaziowskim rodem ruskim, którego przedstawiciele zasiadali w senacie polskim. Że stryj jego dziadeczny zmarł na Sybirze, że brat ojca zginął w powstaniu styczniowym, że wreszcie i ksiądz Wojniłłowicz i doktór Wojniłłowicz którzy tak bardzo zasłużyli się działalnością obywatelską w Mińsku i w Kijowie, dowiedli że tradycje polskie rodziny były silniejsze niż chwilowe dostosowanie się do politycznych wypadków, gdzieś tam w XVIII wieku. Pamiętał że przyjął do wiadomości słowa matki i że więcej nie mówił z nią nigdy o tytule w heroldię kijowską zapisanym, ale że postanowił tego tytułu nie używać, a nawet ukrywać go przed przyjaciółmi.

I teraz pomyślał, że widocznie matka czy prędzej ciotka (tak prędzej ciotka!) musiały w sklepie nazwać go hrabią skoro usłużny kupiec tak go tytułuje. Odpowiedział:

— Pan mnie widocznie bierze za kogo innego.

— Ależ Boże broń. Jakżebym śmiał. Przecie nie mylę się, pan hrabia Wojniłłowicz?

— Przeciwnie myli się pan — ostro odpowiedział Stanisław i nagle wyszedł ze sklepu, zły na siebie, że uniósł się.

Szedł dalej, przystanął przed księgarnią. Była to mała księgarnia pod nazwą Księgarni Postępowej, której specjalnością były książki społeczne oraz czasopisma krajowe i obce. Na wystawie zobaczył książki odsłaniające charakter sklepu. Na froncie widniało skrócone wydanie Kapitału Marxa, dwie czy trzy broszury socjalistyczne, wydawnictwa Ministerstwa Opieki Społecznej oraz tłumaczenie wyboru dzieł Bertranda Russela. Wśród obcych książek dojrzał Untergang des Abendlandes, powieści Anatola France'a oraz poezje Majakowskiego.

— Socjalistyczna, jeśli nie komunistyczna Księgarnia Postępowa. Ah! to o niej pisał Nowaczyński w Rzeczypospolitej jako o „księgarni ustępowej" — myślał.

I już miał odejść od okna gdy drzwi otworzyły się i wyszedł ze sklepu kolega jego uniwersytecki Natan Grincyk, żyd o dużych zdolnościach, który szczególnie zręcznie dyskutował na seminariach ekonomii politycznej. Jego referaty dotyczące bezrobocia, roli kapitału obcego w ruchach politycznych, pieniądza i waluty, wywoływały wśród kolegów burze dyskusji, nad którymi z trudnością mógł zapanować profesor. Gdy Stanisław przygotował starannie pracę pod tytułem o zależności ekonomii od ruchów politycznych Grincyk był najgorętrzym jego oponentem, z którym nie mógł się uporać. Zyskał pochwałę profesora, poklask i podziw kolegów, ale czuł, że krytyka Grincyka zawierała dozę słuszności.

Grincyk był mały, chudy z okularami które wiecznie spadały mu z nosa, z włosem nieuczesanym, w wymiętym ubraniu, z notatkami rozpychającymi mu kieszenie. Ręce miał chude, żylaste, paznokcie nerwowo nadgryzione do połowy. Palił papierosy które kręcił z najgorszego gatunku tytoniu tureckiego. Pochodził z Tłuszcza pod Mazowieckim Mińskiem i podobno kiedyś studiował w szkole rabinackiej. Maturę zdał o własnych siłach a teraz na Uniwersytecie przebijał się pracując jako korektor w małej drukarni.

Nędzny był, brzydki, mówił źle po polsku nie wymawiając nigdy „strz", intonując chrapliwie wyrazy i po przeczeniu używając czwartego przypadka. Gdy zapalił się w dyskusji stawiał za często pytania retoryczne zamiast stwierdzeń. Był typowym okazem ubogiego inteligenta żydowskiego z getta.

Ale był oczytany jak mało kto z kolegów Stanisława. Znał całą literaturę polityczną polską, niemiecką, a także francuską i angielską, choć tymi ostatnimi językami mówił w sposób niezrozumiały bo wyrazy wymawiał po polsku. Nauczył się języków sam, kując ze słownika stronice na pamięć. A pamięć miał potworną, zadziwiającą, rozrośniętą do rozmiarów patologicznych, jak mówiono o nim.

Miał jedną namiętność której Stanisław nie rozumiał. Krytykował Polskę i Polaków, nie uważał się za Polaka w ogóle ale kochał się w poezji polskiej i czytał ją namiętnie. Znał polską poezję romantyczną a szczególnie uwielbiał Wyspiańskiego. Gdy otrzymał na drugim roku studiów nagrodę imienia Matiasa Bersona, wyjechał do Krakowa i zwiedził całe miasto z dramatami Wyspiańskiego w ręku. Jak sam opowiadał, Akropolis służyło mu za przewodnik po katedrze. Ale Kraków znalazł brzydszym niż to Wyspiański opisał.

Teraz Grincyk zatrzymał pierwszy Stanisława i podając mu rękę powiedział:

— Cześć kolego! Widzę że i wy będziecie klientem Postępowej Księgarni.

— Zatrzymałem się przypadkiem ale nic ciekawego na wystawie nie widzę.

— Pójdźcie do środka, znajdziecie pełno interesujących książek, ja niestety nie mam pieniędzy żeby kupować.

I szybko nie bez pewnej nieśmiałości, tonem prośby dodał:

— Zaproponuję wam pewien interes. Kupcie wy, przeczytajcie i pożyczcie mnie. Szybko oddam.

Stanisław zgodził się. Ale co kupić?

— Tę ostatnią powieść France'a i poezie Tuwima.

Obie rzeczy niezbyt interesowały Stasia. France'a nie mógł czytać, bo wiedział że jest to pisarz na indeksie lecz wstydził się przed Grincykiem przyznać do swych zastrzeżeń, poezje a zwłaszcza poezje nowoczesne „żydów piszących po polsku" jak mówiła jego ciotka, nie interesowały go zupełnie. Ale jakoś zależało mu na Grincyku i zgodził się.

Gdy wyszli z księgarni Stanisław oddał książki koledze:

— Przeczytajcie najpierw, ja nie mam teraz czasu na to.

Szli razem do Pałacu Staszica. Tu mając jeszcze godzinę czasu Stanisław zaprosił Grincyka na herbatę.

Mała cukiernia Żmijewskiej o popołudniowej godzinie była pusta. Nie była to pierwszorzędna cukiernia, ale lokal skromny mający swych stałych gości, pary sentymentalne które obgadywały swoje sprawy i emerytów co przychodzili tu na pół czarnej i dzienniki. Ciasny, niemodny lokal, urządzony w czasach Prusa, przetrwał wszystkie modne bary, kluby, kawiarnie stołeczne.

W kącie koło okna przy marmurowym stoliku na pluszowej kanapce siedziała para zatopiona we własnych sprawach. Stanisław poznał w wojskowym pułkownika Wolańskiego i jego towarzyszkę. Dwóch staruszków czytało gazety, a dalej paniusia z prowincji porządkowała papiery. Widocznie przyjechała do Warszawy załatwiać po ministerstwach podania.

— Czy chcecie pączków? — spytał Grincyk, zapraszającym tonem.

— Nie dziękuję.

— Ale ja zamówię dla siebie, pozwolicie.

Gdy wypił dwie herbaty z mlekiem i zjadł wszystkie pączki powiedział do Stanisława:

— Wy kolego Wojniłłowicz nie rozumiecie życia. Wy nie wiecie wiele rzeczy, jak one idą.

— A skądże wy znacie mechanizm świata?

— Bo czytam i mam światopogląd.

— Socjalistyczny?

— Nie, nie lubię półśrodków. Jestem konsekwentnym marksistą.

Grincyk ukończył niedawno konspiracyjny kurs tworzenia dyskusyjnych kółek na uniwersytecie. Jeszcze brzmiały mu w uszach słowa towarzysza „Zdzicha", że pierwszym stopniem dla pozyskania burżuazyjnych zwolenników, jest rozbudzenie w nich ciekawości i zainteresowania problematyką marksistowską. Dalej oddziaływać trzeba na ich szlachetność i etykę inteligencką oraz wysuwać wobec nich żądania na płaszczyźnie praw demokratycznych. Nie należy od razu wystrzeliwać wszystkich nabojów dialektycznych, a nawet należy (pozornie) szanować uczucia i wiary. Trzeba także wciągać ludzi w działalność, przez wiązanie ich ze sobą przyjaźnią, do czego szczególnie nadają się towarzyszki, oraz oddziaływać na ich burżujską rycerskość, względnie przesądy religijne i narodowe. Reszta przyjdzie sama.

— Nie widzicie zjawisk, choć wyczuwacie że one istnieją. Nie jesteście wyzwoleni.

— Z czego?

— Z przesądu że marksizm burzy a nie buduje — stwierdził Grincyk.

— Bo burzy, burzy ogromnym kosztem nawet to co jest godne zachowania...

I dyskusja potoczyła się wokół najbardziej zasadniczych zagadnień. W tej walce dialektycznej był jednak Stanisław słabszą stroną. Czuł to. A był stroną słabszą bo w krytyce, w negacji teraźniejszości faktów i stosunków mógł Grincyk istotnie wyłożyć przykłady trudne do odparcia: antysemityzmu, nędzy bezrolnego chłopa, niezdolności organizacyjnej władz — ujemnych zjawisk, których Stanisław odeprzeć nie potrafił.

Gdy pochyleni ku sobie, dyskutując żywo rysowali jakiś wykres na marmurowym blacie stolika, nagle otwarły się drzwi cukierni i weszło do niej kilku młodzieńców. Stanisław który siedział twarzą do drzwi pomyślał nie bez wewnętrznej niechęci:

— Korporanci...

W tym jednym słowie mieściła się cała suma pojęć. Przede wszystkim konsekwencja rozumowania. Skoro korporanci prezentowali się jako młodzieńcy o nieustępliwych przekonaniach narodowych, czemuż naśladowali od stroju począwszy organizacje niemieckie, pruskie z ducha, obce a nawet wręcz wstrętne Polakom. Czemuż naśladowali burszowski obyczaj niemiecki, przywdziewali owe dekle, bawili się w jakieś cyrkle, konwenty, komilitonie, filisterie i senioraty jak młodzież na uniwersytetach niemieckich?

Młodzieńcy w czerwonych deklach z niebieskiemi opaskami należeli do korporacji Syrenii, modnej organizacji stołecznej młodzieży której honorowym filistrem był hrabia Ankwicz znany polityk narodowy, były poseł do Dumy i wiceprezes koła polskiego. Syrenia szczyciła się swą historią, rzekomo sięgającą wstecz o sto lat. Miała być kiedyś założona w Rydze przez młodzież warszawską studiującą tam na politechnice, ale były to bajki wymyślone na użytek naiwnych.

Stanisław nie znosił korporantów. Drażnili go płytkością sądu, przywiązywaniem wagi do oznak zewnętrznych, a także brakiem zgodności między hasłami wypisanymi w ich programach a praktyką życia. Toteż teraz gdy zobaczył owych młodzieńców, których znał dobrze z widzenia odwrócił się szybko do Grincyka i dalej prowadził z nim dyskusję.

Ale oni byli w jakimś nastroju zaczepno-prowokującym co objawiło się tym że przechodząc koło krzesła Grincyka potrącili je raz i drugi, tak że zdziwiony Grincyk obejrzał się. Wówczas jeden z młodzieńców syknął:

— Wszędzie się żydy panoszą...

Grincyk wstał. Był blady i przestraszony. Nie wiedział jak zareagować. Wstał i Stanisław. Spokojnie, nie bez zimnej wściekłości rzucił:

— To jest mój gość...

— Każdy szlachcic ma swojego żyda...

— Won!

Awantura która wybuchła była typowa i byłaby się może przerodziła w bójkę, gdyby nie to że zza kasy przybiegła kasjerka a zza lady właścicielka i obie zaczęły histerycznie krzyczeć.

— Panowie, nie tu, nie tu!

Stanisław miał przeciw sobie czterech młodzieńców z laskami w ręku. Sam porwał za gięte krzesło i czekał w pozycji obronnej. Dojrzał jak pułkownik Wolański ze swą towarzyszką wychodził czym prędzej tylnym wyjściem. Równocześnie Grincyk szukał pod stołem okularów.

Dziewczyna w kuchni świeżo przyjęta ze wsi, widząc awanturę wybiegła przed sklep i zaczęła się drzeć w niebogłosy — policja! policja! W jej rodzinnej wiosce czyniła tak zawsze właścielka Kółka Rolniczego, jeśli parobcy pobili się przy piwie.

I w tej chwili zjawił się posterunkowy.

Widok przedstawiciela władzy uspokoił awanturników. Równocześnie właścicielka bojąc się o reputację swej cukierni zaczęła posterunkowemu tłumaczyć:

— Nic się nie stało. Panowie akademicy posprzeczali się trochę o politykę. Ale wszystko jest już w porządku — i wskazała na grupę kor-

porantów którzy siedzieli spokojnie przy stoliku i na Grincyka, który odszukał już swoje okulary i wyszedł spod stołu.

— Po cóż wzywano policji?

— Głupia dziewczyna, Kaśka.

Posterunkowy nie miał ochoty spisywać protokułu. Miał właśnie zejść ze służby i wracać do domu. Mieszając się w zajście straciłby czas i spóźnił na podmiejski pociąg.

Stanisław dyszał w kącie i silił się na spokój. Gdy posterunkowy wyszedł młodzieńcy rzucili mu na blat stolika cztery bilety wizytowe, prosząc o wyznaczenie świadków.

Równocześnie w kuchni właścicielka trzasła w pysk Kaśkę.

— Idiotko coś ty myślała, że to karczma? — i wymówiła jej od pierwszego, zwłaszcza że kończył się sezon.

Gdy wyszli z cukierni Grincyk odezwał się do Stasia.

— Oto macie młodzież polską...

Stanisław milczał. Był zły i skwaszony, miał niesmak sam nie wiedział dlaczego.

— Ale stanęliście w mojej obronie, czego się po was nie spodziewałem — ciągnął dalej Grincyk, tonem który zirytował Stanisława. Więc mu odparł nie bez pewnej złośliwości:

— A cóż wyście robili pod stołem?

— Szukałem okularów które mi spadły.

— Hm — mruknął niedowierzająco Stanisław.

— W każdym razie kolego Wojniłłowicz zachowaliście się odważnie i obroniliście mnie. Nigdy wam tego nie zapomnę.

Pożegnali się i rozeszli. Gdy Stanisław spojrzał na zegarek dochodziła piąta. Najwyższy czas było lecieć na spotkanie z kolegami, a potem w delegacji do księdza Matusika. Wskoczył do taksówki. *D.c.n.*

STANISŁAW ILEWICZ

ORANIENBURG — ALDERNEY — KORTENMARK

Rozdział IV

I TYLKO CZASEM...

Minęło Boże Narodzenie, minął 1940 rok... Życie nasze było ponure, bez nadziei. Polityczny horyzont zaciemniał się, propaganda szalała. Byliśmy słabi, wynędzniali, owrzodzeni, gniliśmy za życia. Jak Żydzi na kwarantannie. Staliśmy się twardzi na cudzy ból i cudzą niedolę, bo tu o krok, godzinę, nadchodziła twoja własna. Albo już nadeszła. Kiedy musiałem robić operacją na pięcie, wszystko odbyło się jak w kuźni. Stałem na jednej nodze, drugą podniosłem w górę, trzymając się rękami krzesła. Grube krople potu spływały mi z czoła. Owinięto nogę papierowym bandażem i tylko przez 4 dni nie chodziłem na robotę. A po 4 dniach pracowałem normalien.

W tym czasie Niemcy wynaleźli jakąś nową surowicę przeciwko malarii. Króliki miały zbyt silny organizm, więc wszczepiano malarię więźniom, a po tym leczono ich. Nim zastosowano owe cuda techniki z działaniem n.p. sprężonego powietrza, pewnych gatunków gazu w Oświęcimiu — czyniono próby na więźniach z Sachsenhausen. Brano od nas krew na potrzeby — jak się to mówiło wojenne. Zaziębialiśmy się, gdyż godzinami musieliśmy stać z gołymi, wystrzyżonymi do skóry głowami na mrozie. Było 22 stopni mrozu, w południe. Staliśmy w swoich kolumnach roboczych, w oczekiwaniu na wymarsz do roboty. Czekaliśmy w postawie swobodnej. Miałem ręce w kieszeni, gdyż było zimno, a rękawiczek nie

miałem, bo mi się podarły. Nagle, jak spod ziemi wyrósł młody SS-man, Schaarführer. Przez kilka minut wymierzał mi ciosy w szczękę, pytając w krótkich odstępach, dlaczego miałem ręce w kieszeni. Miałem już rozbitą twarz, gdy z rozmachem uderzył pod brodę, robiąc sygnetem głębokie rany. Nie mogłem się zasłonić, gdyż podniesienie ręki do góry, byłoby dla niego dowodem, że rzucam się na niego — strzeliłby. Pierwsze przykazanie brzmiało: gdy rozmawia z tobą SS-man, masz trzymać ręce w dół. — „Immer Hände runter".

Dlaczego nikt się nie rzucał?... Dlaczego nie wybrał śmierci niż takiego życia... W hańbie, upokorzeniu i upodleniu... Dlaczego?...

Zawsze się obawiałem, że gdy wrócę, syn mi zada to pytanie. I co mu odpowiem... i czy mnie zrozumie, gdy mu odpowiem?... Ale czas leciał... coraz mniej było szans powrotu i coraz rzadziej pytałem się, co mu odpowiem. Ja dopiero dzisiaj wiem, dlaczego...

Każdy wierzył, że to potrwa krótko, 6 - 7 tygodni, że trzeba wytrzymać, że przecież to bydlaki, sadyści, że przecież to mnie nie hańbi. Jestem bezbronny — i jeszcze, mam żonę, dziecko, matkę, czy narzeczoną, mam... mam... mam ... muszę to znieść. Może tym się pokrywało tchórzostwo... i jeszcze... jeśli się rzucę, jeśli go uderzę, oddam, to nie zabije mnie od razu, będę umierał tygodniami. Myśmy to widzieli. Był taki profesor, starszy człowiek. Przyjechał z kilku innymi. Nim ich przyjęto do obozu, musieli stać przed bramą. SS-mani oglądali tych ludzi, bili ich po twarzy, zakładali im walizki na głowy, kazali robić przysiady. Szubert, postrach kwarantanny zbliżył się do tego profesora i pociągnął go ręką za brodę (profesor nie był jeszcze ogolony). Ten uderzył Szuberta w twarz. A potem... umierał cały dzień. Umierał w ohydny sposób. Niemcy nie ludzie. Więc były względy, więc był strach i była nadzieja na przetrzymanie. I wszyscy to robili. Generałowie, synowie ministrów, księża, senatorowie, posłowie. Polacy, Niemcy, Czesi, Holendrzy, Norwegowie, Serbowie, Francuzi, Belgowie, Rosjanie... — rozumiesz Esik?...

Przychodzi okres zobojętnienia. A tu wciąż rozstrzeliwują. A tam w kraju został Wiktor Blondyn i Adam Kołodziej, którego rozstrzelali lub umarł w więzieniu i był Tadzio Sz. i Józio C., który jest w Oświęcimiu i wielu innych... Czy wytrzymają, gdy ich wezmą na bicie... Niemcy mają sposoby. I nikt nie wytrzyma. A w ogrodzie mam broń zakopaną i wie o tym mój syn. I jego za mnie rozwalą pod ścianą. I Stacha i Florka... I tylko czasem... rano, gdy już szarzało, wychodziłem przed barak i patrzałem w stronę, gdzie była Polska. Zdejmowałem czapkę i mówiłem: — Boże, gdziekolwiek jesteś!... Ja już nie chcę wolności i nie proszę o życie — daj moim, tam w kraju trochę szczęścia! a mnie,... mnie daj ... męstwo spokoju!... bym umiał, jeśli to przyjdzie... spokojnie umrzeć.

Pracowałem w lesie. Ścinaliśmy drzewa, rżnęliśmy na dwu i jedno metrowe kawały i nosiliśmy je w jedno miejsce. Była zima. Robota była ciężka, ale za nami był obóz, nie widzieliśmy drutów. Dookoła, dyskretnie w krzakach, za drzewami, ulokowały się posterunki. Najciężej było znosić gotowe sztuki. Kolana wyginały mi się w esyfloresy pod ciężarem dźwiganych sztuk. W dodatku nasz Vorarbeiter, Ślązak był skończonym bydlakiem. Pędził nas, chociaż leśniczy nie wymagał więcej od nas, bo widział, że dajemy z siebie wszystko — jednak ten był nieubłagany, nie dawał nam chwili spokoju, ryczał i bił. W gniewie był szalony. Jednego razu zamachnął się siekierą i zamiast trafić w nauczyciela T... uderzył swego przyjaciela, też Ślązaka.

Wracaliśmy z roboty. Dokoła las. I nagle przed nami wyrasta dom. Z czerwonej cegły, kryty dachówką — fotografia naszego domu w Ksawerynowie... Przez okno ujrzałem

pokój, na środku stał długi, przykryty białym obrusem stół. Przy stole siedziały dwie kobiety i dwoje dzieci. Ach, ach!... daleko daleko... zobaczyłem wyraźnie *nasz dom* — ujrzałem Henusię. Siedziała przy stole, plecy miała pochylone. Jak kiedyś... jak wtedy... gdy rozmawialiśmy... „gdybym była mężczyzną”...

Stokroć bardziej zmęczony, bardziej niż zwykle posępny, wracałem do obozu.

Twarde mieliśmy życie — szorstkie i chamskie — tkliwość uleciała. Każdy żył dla siebie, każdy dbał o siebie. W tej troskliwości o siebie gotów był po trupach innych iść do wolności.

Ale bywało inaczej... Byliśmy stale głodni. Kto coś zdobył, krył się przed drugimi, zjadał ukradkiem i cieszył się, że żyje. A dzielić się z kimś... Pewnego popołudnia Władek S. mój wtedy najlepszy przyjaciel wszedł na salę i mrugnął na mnie znacząco. Poszedłem za nim do umywalni. Tajemniczo oglądając się na wszystkie strony, wyciągnął pomidory (ukradł je w ogrodzie) i pakował mi jednego do ust. — Dobre co?... dobre? pytał cicho i... jedz... jedz!... pakował mi do ust drugiego. Gdy jadłem położył mi delikatnie rękę na głowie. Nie byłem wtedy głodny. I tak staliśmy w tej umywalni. Staliśmy patrząc na siebie...

Od czasu do czasu przychodziły chwile tęsknoty. Chwile te przeciągały się w tygodnie — wysysały siłę, odporność.

Gdy w piękny letni dzień stałem na placu apelowym i widziałem owe tysiące ludzi, wieże z karabinami maszynowymi, zdawało mi się, że śnię... To nieprawda — to nie może być! Chciałem wybiec z szeregu i krzyczeć — Puśćcie mnie puśćcie! — albo zabijcie! Ja już nie mogę!... nie mogę. Szaleństwo... nerwy... Widziałem takich którzy krzyczeli nie mogę, nie mogę i biegli na druty, prąd ich targał, a w kilka sekund zawisali na drutach, jak szmaty — przecięci niemal wpół serią strzałów z wieży. Co jakiś czas były takie sceny.

NIEMIECKI HEŁM

O parę kilometrów od Sachsenhausen ciągnęły się lasy sosnowe. W tych lasach ukryte były garaże samochodowe; ciągnęły się zamaskowane ulice baraków, budowały się nowe baraki, szopy, stały setki i tysiące wozów francuskich. Pracowało w tych lasach 200-300 więźniów. Jak już nadmieniałem, cały obóz podzielony był na komendy robocze. Ta leśna nazywała się „Waldkomando Einz”. Bo była jeszcze druga, w której przeważnie pracowali rzemieślnicy. Czas pracy był na tej komendzie długi: od 7 rano do 8.30 wieczorem, z godzinną przerwą na obiad. Woziło się taczkami cegły, piasek, glinę. Dźwigało się żelazo, belki, kopało rowy, ścinało drzewa. Vorarbeiterem był Niemiec, niski, kretynowaty, z trójkątem czerwonym — polityczny... Jego zastępcą, zielony bandyta, który był pierwszą figurą w komendzie, drugim zastępcą polityczny Niemiec, który niedawno przybył z Buchenwaldu i stamtąd przywiózł nienawiść do Polaków. Były piękne, słoneczne dni. Serce wyrywało się, oczy z bolesną rozkoszą wchłaniały wysmukłość drzew, przebijały się przez gąszcze krzaków, biegły, biegły. U nas w Ksawerynowie był las... Szło się do niego ścieżką, dosyć szeroką, wśród pól. Zaraz za stodołą rozpoczynała się ta ścieżka. Na skraju jej rzucało się pantofle i boso, bo była rosa, szło się. Z początku po lewej i prawej stronie był ogród warzywny. Pachniał koper. Trochę dalej rozpoczynała się pszenica. Była piękna. Jeszcze dalej, tuż pod lasem, po lewej stronie było bagno, po prawej pagórki, porosłe krzakami. Tam paliliśmy ognisko, piekli kartofle. I wreszcie las... Jak dobrze było usiąść pod drzewem, wsłuchać się w kołysanie gałęzi — była cisza... był Bóg. Odczuwało się sercem Jego obecność... Ale tu... Och, ten bydlak Otto, z tym swoim „Loss” lub na odmianę idiotycznymi: bystra! bystra! — odnosiło się to do Rosjan i znaczyło niby szybko.

Te wrzaski, uderzenia — nie tu nie ma Boga!...

Koła taczki zapadały się do połowy w rozmokłej ziemi. I cały dzień tam i z powrotem. Jeden forman pilnował przy nakładaniu taczki, drugi stał w miejscu, gdzie się wysypywało. Ani przez chwilę odpoczynku. A las! I tylko parę skoków i już w nim jesteś... Tylko hełmy strażników, tylko r-kaemy w ręku strażników. Ciężko jest wozić. Serce tak bije mocno,szybko, nie bije a raczej tłucze się. Po kilku tygodniach począłem „muzułmanieć”. *Muzułmanin* w terminie obozowym, to człowiek chory, brak mu siły, staje się apatyczny, wszystko mu jedno.

Opuścił mnie lęk śmierci. Nie była to jednak odwaga śmierci — było zobojętnienie. Obrazy domu, żony, syna i moich najbliższych, jakoś zatarły się, nie mogłem odtworzyć rysów twarzy. Wszystko stało się mgliste, dalekie, nierealne. Staliśmy rano do apelu. Po obu stronach chodnika ustawiły się bloki, nasz 65-ty był na froncie. Pod bramą, twarzą do nas stali dwaj więźniowie. Obaj mieli czerwone trójkąty po lewej stronie bluzy i numery po prawej. Polacy... gdyż wszyscy inni: Niemcy, Holendrzy, Serbowie, Norwegowie, Francuzi, Belgowie mieli numery po lewej stronie. Więźniowie stali swobodnie z rękami założonymi w tył, byli bez czapek. Obok nich stało dwóch SS-manów. Tęgi, o mordzie buldoga, Oberschaarführer Höring i drugi wysoki, najwyższy spośród SS-manów Unterschaarführer. Twarze mieli wszyscy czterej skierowane na wprost bloków. Patrzyli na olbrzymi, okrągły kwietnik, rażący oczy jaskrawością kolorów. Przeważała czerwień. Obok kwietnika ustawiono właśnie lekką, zgrabną szubienicę — taką na chybcika. Z prawej strony kwietnika, odcinał się zielenią prostokąt trawnika i zaraz zaczynała się ulica wysypana żwirem. Stał duży wóz na gumowych kołach, t.zw. rollwaga, na której leżały dwie czarne skrzynie. Obok wozu stało dwóch więźniów. Robiono ostatnie przygotowania. Z lewej strony stał dźwig — winda, o dużej żelaznej korbie. Przy dźwigu stał wysoki więzień z oznaką „polityczny”. Stał trzymając w ręku korbę dźwigu. Przypomniał mi się kataryniarz. Do szubienicy podeszło kilku SS-manów, oficer, lekarz, reszta dla przyjemności. Palili papierosy, żartowali wesoło. Więźniowie patrzyli na budującą się szubienicę. Czytali może po raz setny i tysięczny w swym życiu napisy, malowane białą farbą na szczytach poszczególnych bloków. Napisy te miały utwierdzać więźniów w cnotach obozowych.

Jeden napis — na jednym bloku: „Es gibt einen Weg zur Freiheit — Seine Meilensteine heissen: — Fleiss, Gehorsam, Ordnung, Ehrlichkeit, Sauberkeit, Nüchterheit, Wahrhaftigkeit, Opfersinn und Liebe zum Vaterlande!”.

Staliśmy w zupełnej ciszy. Patrzyliśmy na więźniów. Jeden był młody, gdańszczanin, drugi starszy w okularach, kierownik szkoły, zdaje się z Piotrkowa. Oficer dał znak. Gdańszczanin i SS-man poczęli iść do nas. Teraz dopiero zobaczyliśmy, że więzień jest skuty. Na 3-4 kroki od szubienicy stanął. Oficer coś tam niedbale, z papierosem w ustach wymamrotał z trzymanego w ręku papieru. Założono mu sznurek. Zaskrzypiała korba i gdańszczanin wolno unosi się w górę. Wyrzuca jedną nogę w lewo, drugą w prawo, obraca się frontem raz w jedną, to znów w drugą stronę. Już dochodzi do właściwej wysokości. Obracający korbą, czyni to z namaszczeniem, wolno, bo mechanizm się zacina, piszczy... Koniec... Wisielec rzuca się raz i drugi i uspokaja się. Ktoś z tyłu szepce: — oni czyścili hełmy niemieckie — jeden z nich miał powiedzieć: — czyść porządnie, by kula łatwo przeszła. I za to... Z drugiego rzędu, ktoś ciekawie wpycha głowę — Ach chamie — mówię szeptem — to teat dla ciebie — głowa się cofa. Nie żal mi tego, który już wisi. Żal mi tego, który tam stoi, czeka... Żal mi go, bo już raz umierał. Patrzył jak tamtego podciągali do góry, jak

rzucał się, drgał. Już to przeżył. O czym teraz myśli. Nie da mu spokojnie stać Höring. Śmieje się, pokazuje jak gdańszczanin jedzie w górę, jak huśta się. A grupka koło szubienicy czeka. Oficer spogląda na zegarek, jeszcze nie ma 15 minut. Lekarz ujmuje wisielca rękę, udaje, że bada puls, a równocześnie w dalszym ciągu rozmawia. Opowiadają anegdoty, bo wciąż wybuchają, ordynarnym, głośnym śmiechem. No, już. Dwóch więźniów zdejmuje z wozu skrzynię i szybko z psią uległością ją podstawiają. Nauczyciel widzi teraz, jak towarzysz wolniutko zjeżdża w dół, niżej, niżej i nogi dotykają dna paki. Ci dwaj chwytają go z dwu stron, zdejmują sznur i ciało układają do paki. Odnoszą.

Idzie drugi. Höring z błazeńskimi ruchami, które w jego mniemaniu są wykwintne, ukazuje skazańcowi szubienicę. Udaje, że go zaprasza. Gdy podchodzą do nas, widzimy go. Jest blady, ale zupełnie spokojny. Nie patrzy na Höringa, nie zwraca głowy do nas, patrzy prosto. Na szubienicę, czy kwietnik?... Słupy szubienicy stoją po obu stronach kwietnika. Do tej furtki, drażniącej oczy kolorami kwiatków, idzie... krok ma równy spokojny. Znowu oficer coś z kartki odczytuje. Teraz skazaniec stoi plecami do kwietnika, twarzą do bramy. Ma przed oczyma na ganku lufy reflektorów i lufy karabinów maszynowych, a za sobą szubienicę i sznur na szyi. O czym on myśli... Dlaczego twarz ma zastygłą, nieludzko spokojną?... Czy aż tak mocno jest zmęczony biciem w bunkrze?... Żadnego wzruszenia na twarzy. Czy umarł już wtedy, gdy tamten umierał... Dlaczego on nic nie mówi, nie krzyczy... Esik, Esik!... dlaczego on się nie rzuca na nich, nie kopie nogami, nie kąsa oprawców. Ty nie wiesz, co... Ty się dziwisz, gorszysz oburzasz?... Ja wiem i on wie... Jeśli się rzuci, to zamiast umrzeć spokojnie zostanie obity, skopany butami złamią mu nos, rękę, uczynią z niego krwawą szmatę i resztki powieszą... Dlatego...

Stoi jak pokutnik w średniowieczu z tym sznurem. Opuścił oczy w dół na kwiaty... Piękne są te kwiaty sadzone rękami więźniów. Takie są w Polsce... O czym on myśli ten nauczyciel z Piotrkowa, czy jego okolic... Może ma żonę i dzieci. U nich są też w ogródku takie kwiaty...

Słońce wychyliło się w całej swej okazałości. Słońce!... Drgnęło w nim coś gdy oczy jego leżą na kwiatach... O, wstrząs piersi, krótkie, gwałtowne raz, dwa, trzy!... Stoję od niego 10 kroków. Więc widzę. Czyżby szloch — przypomnienie?... Żal?... Może mówi tak jak Słonimski, tylko prostymi słowy:

„Jak jeden z tych przechodniów,
[co giną za rogiem,
Przejdę i minę może
[nieznany nikomu,
Lecz serce me zostanie jak
[kwiaty pod progiem,
Rodzinnego, a przecież
[zamkniętego domu".

Jak kwiaty!...

Zaskrzypiał ochryple dźwig — winda...

HELENA BOGUSZEWSKA

DO TRZECH RAZY...

Hałas, krzyk, tłumne szuranie nóg w drewniakach przed blokiem na ulicy. Więźniarki z tak zwanej nocnej „Wachy" niespokojnie nadsłuchują. Z drewnianych piętrowych prycz wzdłuż ścian tu i ówdzie unoszą się głowy, ale w ciemności nic nie można dojrzeć. Przez nagle otwarte drzwi wpędzono z zewnątrz do środka jak stado spłoszonych zwierząt, zziębniętą, tupiącą, zdyszaną ludzką ciżbę. Zionęło mroźnym powietrzem. Zaroiło się od ruchliwej szemrzącej masy: nowy transport kobiet!

Zakołysała się tym tłumem cuchnąca ciemność wnętrza. Z prycz posypały się pytania. Skąd? Z krakowskiego ghetta. A przybyły tu już wczoraj po południu, tylko ta łaźnia, to przebieranie, strzyżenie, a wszystko w tym piekielnym pośpiechu, biciu, wrzasku... i to czekanie całymi godzinami, i cały czas bez jedzenia, i cały czas bez picia...

Ale te z prycz nie chcą wysłuchiwać żałosnych dziejów kwarantanny. Znają to aż nadto dobrze. Te z prycz są spragnione wieści ze świata a nie z obozu. Krakowskie ghetto? może akurat znajomi? może bliscy? może nawet najbliżsi? Wszystko aż się trzęsie od pytań i odpowiedzi. Ktoś się pyta rozpaczliwym szeptem, gdzie jest właściwie ten ósmy blok? Ktoś się śmieje, że tu, no właśnie tu jest ósmy blok. Co, może niedość przyjemnie? A może się myślało, że można będzie zaraz położyć się do łóżka jak w domu?

Naładowana ludźmi ciemność roi się jak mrowisko, wzdycha, szepcze, jęczy, nawołuje się. Nie można się odnaleźć, nie można się doliczyć. Część transportu została gdzieś przed łaźnią. Część u fryzjerki przy strzyżeniu, a może tam, gdzie rozdawano pasiaki i bieliznę? A może u szwaczek, tam gdzie naszywano numery i żółte gwiazdy żydowskie...

Dość, że ich nie ma.

— No to co, że nie ma. Przyjdą.

Ale czy na pewno przyjdą? Jakaś matka rozpacza o swoje dwie dziewczynki. Córka, ta sama, która pytała o ósmy blok, bardzo się niepokoi o matkę. Trzy siostry dalej się gubią w ciemności, to znowu się odnajdują. Wszyscy szukają wolnych miejsc na pryczach. Dlaczego tak mokro? Dlaczego nie ma sienników, ani koców, ani nawet słomy?

Więźniarki z nocnej „Wachy", służba blokowa, niecierpliwi się: Spokój ma być! Tu i ówdzie wybucha krótki wrzask, odgłosy poszturchiwań czy uderzeń. Wszystko ucicha. Spokój ma być!

Jednak z nadejściem każdej opóźnionej grupy wybuchają nowe pytania, nowe poszukiwania. Blok brzęczy rozpaczliwymi, przyciszonymi nawoływaniami i lamentami jak ul.

W końcu czarna ruchliwa szemrząca ludzka masa, zalegająca dotąd środek, rozlewa się na prycze wzdłuż ścian. Na gołe deski, po kilka w jedno miejsce, byle jakoś odpocząć. Na miłość boską odpocząć choć przez godzinę, choć przez chwilę!

Córka w milczącym udręczeniu oczekuje matki. Wyszukuje dla niej i dla siebie wolne miejsce na pryczy. Wyciągniętymi po omacku rękami natrafia na nagą chropowatość mokrej i cuchnącej deski. Ręce cofają się same. Nie, nie położy się. I matka również na pewno nie zechce się na to położyć. Przeczekają jakoś tę noc, byle do rana. Tylko niech już raz przyjdzie, niech przyjdzie...

Przysiada na suchym brzegu jakiejś pryczy. Opiera o coś głowę. I natychmiast zasypia majaczącym półsnem, jak w gorączce. I natychmiast znowu się budzi, i znowu zasypia, i tak ciągle. Dokoła niej wszyscy też zasypiają, budzą, się, znowu zasypiają, wzdychają, szepczą i jęczą.

Uszy ma pełne straszliwych niemieckich wrzasków. Oczy ma pełne wariackich jakichś obrazów. Więc jakżeż to było? Czy naprawdę mogło być tak, że na oczach wszystkich esesmanów biegła nago razem z gromadą innych nagich kobiet? A matka została wtedy przed łaźnią. I jeszcze ten jakiś Klauzen i ta Pfaffenhofen...

Chce opowiedzieć o tym wszystkim matce, ale matki nie ma. Została przecież przed łaźnią. Dokoła w ciemności wszystko się rusza, zasypia, budzi, wzdycha i szepcze.

Matka jest! Siedzi obok niej. Co za szczęście! Weszła z którąś grupą. Nie wiadomo jak odszukała córkę w ciemnościach. Nie, nie chce się położyć, przecież te deski są całkiem mokre. Przeczekają jakoś tę noc razem przytulone do siebie. I to nie jest snem.

Ale tamte obrazy jakiejś wariackiej maskarady również nie były snem.

Wystarczy ręką dotknąć samej siebie: Ostrzyżona głowa pod cieniutką chusteczką, wytatuowana ręka, obce jakieś łachy, z wypukłościami ponaszywanych numerów, trójkątów i gwiazd, bose stopy tkwiące w drewniakach, jak w małych czółnach z jednej kłody drzewa. Jedyna pociecha, że są razem z matką. Ojca oddzielono od razu, o braciach nic już nie wiadomo, ale przynajmniej one są tu razem w jednej grupie, w jednym bloku, na jednej pryczy, przytulone do siebie...

— Więc, cóż ten Klauzen?, cóż ten Klauzen — Matka nic nie może zrozumieć z tych najciszej szeptanych słów, nie może nawet powtórzyć: Unterscharführer, Anweiserka. Bo ta Pfaffenhofen była Anweiserką.

Nagle z głębokiej ciemności powstaje jakiś nowy, odmienny ruch. Trzaskanie drzwi. Hałas przy wejściu. Wstawać! wstawać!

Nowoprzybyłe zrywają się w przerażeniu. Jakieś głosy uspakajają: To nic, to po prostu koniec nocy. Godzina czwarta rano.

* * *

— Pani pozwoli — mówi prokurator — Pani pozwoli przerwać sobie na chwilę. Musimy to jakoś uporządkować te pani zeznania. Zapisać.

I od tych jego słów wszystko się zapada i znika: tamta noc na ośmym bloku, i Klauzen i matka...

Jest tylko córka zeznająca przed Komisją Badania Zbrodni niemieckich. Duża i silna, dobrze ubrana w popielaty wiosenny kostium i ozdobne sandałki. Twarz ma spokojną i podłużną o małych ustach, o liniach prawidłowych i prostych, jak rzeźba. Siedzi z nami przy biurku w tym pokoju urzędowym, w którym wszystko jest jasne i sztywne. Pod dyktando prokuratora maszynistka zapisuje w skrócie urzędowym stylem:

...„*Osiemnastego stycznia* 1943 *roku rano załadowano nas do wagonów bydlęcych na dworcu zachodnim w Krakowie. Po południu przybyliśmy na dworzec, jak się później okazało w Oświęcimiu. Zaraz po wyładowaniu podzielono nas na grupy, osobno mężczyzn, osobno kobiety...*”

A dalej w innym miejscu.

...„*Pod ścianami stały prycze dwupiętrowe, jak skrzynie na króliki, z jednej strony otwarte. Wewnątrz tych skrzyń spały więźniarki. Było tam pełno kału i było mokro. Dodaję, że w tym czasie szerzył się w Obozie Durchfall, choroba podobna do czerwonki. W bloku nie było ustępu, a strażniczki nie pozwalały na wychodzenie w nocy...*

...*Wobec tych warunków higienicznych nie położyłam się tej nocy spać i czekałam na moją matkę, która przyszła dopiero o trzeciej w nocy. Około czwartej „Blokowa” i „Stubendienst” wezwały nas na ranny apel*”...

Ale prokurator nie chce teraz słyszeć o rannym apelu. Chce najpierw zakończyć z dziejami nocy. Więc przede wszystkim: Cóż ten Klauzen? i ta Pfaffenhofen? — dopytujemy się wszyscy jak wtedy matka, i jak matka nie możemy nic zrozumieć.

Maszynistka stuka na maszynie:

„*Klauzena tego zobaczyłam po raz pierwszy wtedy, kiedy byłam jeszcze w łaźni nago. Przyprowadziła go do łaźni Anweiserka Pfaffenhofen. Ta Pfaffenhofen była malarką, a raczej mówiła, że jest malarką i zobaczywszy, że jestem dobrze zbudowana, oświadczyła, że będzie mnie rysować, to jest robić mój portret, i pytała, czy mam wyraźne pismo i czy władam językiem niemieckim. Gdy na te pytania odpowiedziałam twierdząco, oświadczyła ona, że porozmawia ze swoim szefem Unterscharführerem Klauzenem, i że weźmie mnie do pracy, jako pisarkę* („*Schreiberin*”) *do politycznego działu*”.

I teraz to najważniejsze: Że odtąd były razem z matką przez dwa tygodnie, że było bardzo ciężko, ale razem. Dopóki nie stało się tak, że trzeba było po raz drugi spotkać się z tym esesmanem Klauzenem... Dopóki się nie stało...

— Ale co się stało?

Zeznająca nie odpowiada wprost na to pytanie. Nie od razu odpowiada. Przez chwilę milczy. I my również milczymy.

Za oknem wiosenne niebo pełne obłoków, poprzecinane gałęziami drzew już młodozielonych, a jeszcze zupełnie prawie ażurowych. Ale ona nie patrzy na niebo. Nie patrzy też na nas. Raczej poprzez nas, jak byśmy byli powietrzem, patrzy groźnie skupionym spojrzeniem swych dotąd spokojnych oczu. W tamtem straszny czas, kiedy po dwu tygodniach musiała po raz drugi zobaczyć się z esesmanem Klauzenem.

...,,*Zaznaczam*—znowu pośpiesznie wystukuje maszynistka—*zaznaczam—że już od chwili wywiezienia mnie z krakowskiego ghetta, nosiłam się z zamiarem samobójstwa, ponieważ wiedziałam, że z Oświęcimia żaden żyd wyjść nie może. Od popełnienia samobójstwa chroniła mnie tylko moja matka*".

*   *
*

Matka, matka. Ciągle matka, zawsze matka. Cóż wypełniło te dwa tygodnie, oprócz córki zamiarów samobójczych, prócz matczynej walki z tymi zamiarami?

Znowu odrywa się myśl od dnia dzisiejszego. Zapadamy jak w otchłań w tamtą ciemność, w tamtą rozjęczaną, rozszeptaną, koszmarną noc, zakończoną rannym apelem.

Apel w jednej chwili postawił na równe nogi całą tę ciżbę, dopiero co wyrwaną z majaczącego półsnu, a już przerażoną i gotową do przyjęcia nowych ciosów.

Przynaglany wrzaskami i biciem pośpiech w ścisku przy rozdawaniu porannej zupy z kotła, zupy niedostępnej dla nowicjuszek nie mających jeszcze misek i nie umiejących się jeszcze należycie pchać. Potem ścisk, wrzask, bicie i popychanie przy wywalaniu się całego tego tłumu w mroźną przedranną ciemność. W tak zwanej ,,lagrowej" ulicy, to jest pomiędzy dwoma rzędami bloków, ustawianie się w piątki. (Nieskończenie długie czekanie aż przyjdzie ,,Blokführerka" i policzy czy żadnej nie brakuje. Całe godziny nieraz trwające stanie na mrozie w drelichach i starych lekkich płaszczach z czerwoną farbą naznaczonym krzyżem na plecach, z ostrzyżonymi głowami w cienkich chustkach, z gołymi nogami w holenderskich drewniakach. I odtąd tak już miało być co dzień.)

Trzęsąc się z zimna i z tego szczególnego napięcia nerwowego, w jakim tu się ciągle żyło, matka i córka stały obok siebie. Potem, gdy nareszcie zjawiały się więźniarki-kapo i zabierały grupy do pracy, matka i córka znowu szły razem. Tak miało być co dzień.

I co dzień od tej chwili nowa udręka: jak tu przejść przez bramę obozu, gdzie stoi cała banda ,,esesmanów" z psami specjalnie tresowanymi, a każdy pies rwie się na smyczy i aż się zanosi, aż się dławi wściekłym ujadaniem.

Nic to, nic. Przejdzie się jakoś razem, byle nie patrzeć na strony, tylko wprost przed siebie, bo tak jest najlepiej. I byle tylko nie okazać strachu i nie przyspieszyć kroku. Przejdzie się na pewno i żaden pies się nie rzuci, byle tylko nie oglądać się. I byle razem.

Bo jak tylko jeden jedyny raz matkę zabrano osobno do innej pracy w innym ,,komando" przy burzeniu domów, to wróciła wieczorem z udem poszarpanym przez psa. Raz jeden tylko rozłączono je i zaraz musiało się to zdarzyć. Dopóki razem, to jeszcze w ogóle jako-tako.

Czy naprawdę jako-tako? Przecież ,,Kiesgrube" to najgorsze ,,komando". Trzeba wydobywać kamienie z zamarzniętej ziemi. Przez cały dzień na mrozie trzeba tłuc te kamienie. Popękana skóra na rękach, odmrożone obolałe stopy w drewniakach. Córka nie chciała tłuc kamieni. Chciała po prostu umrzeć i to zaraz, już! Pomyśleć tylko, co za szalona pokusa! Pod nisko nawisłym zimowym niebem najzwyczajniej w świecie iść przed siebie, wlokąc nogi odmrożone i poranione w potwornych drewniakach i wiedząc na pewno, że się je wlecze po raz ostatni. Zostawić za sobą ujadające psy, ,,esesmanów" i ,,kapo" i gorzką czarną kawę

z dziesięciu deka chleba, i zupę z brukwi — i iść. Albo dotknąć ręką drutu, albo nawet nie dotknąć, tylko jeszcze przed drutami paść od kuli strażnika z wieży — i już.

Matka nie dawała iść na druty. Matka pracowała za dwie, za siebie i za córkę i przekonywała, tłumaczyła, że przecież jednak może się przetrwa, żeby jeszcze poczekać, żeby jeszcze próbować.

— Czego czekać? Czego próbować? — niecierpliwiła się córka. Matka nie wiedziła czego próbować. Ale wiedziała, że musi próbować wszystkiego, żeby córkę powstrzymać od samobójstwa. I powstrzymała. Może nie żadną perswazją, może po prostu tylko tym, że istniała.

„Rano Aufseherki obchodziły naokoło obozu po linii drutów, na tej linii znajdowały po kilkanaście trupów kobiet, które popełniły samobójstwo".

Tak. Komando Kiesgrube to było najgorsze komando, niemożliwe do przetrzymania, i powinno być wielkim szczęściem dla córki znaleźć się nagle pewnego dnia w czterech ścianach i pod dachem w kancelarii Oddziału Politycznego, z piórem w ręku, przy stole, zamiast z łopatą na zamarzniętej ziemi. Wypisywać na papierze długie litanie nazwisk, zamiast tłuc kamienie na mrozie. Anweiserka Pfaffenhofen dotrzymała obietnicy.

Powinno było być wielkim szczęściem, ale nie było. Bo przecież matka została w Kiesgrube i każda chwila była zatruta myślą o matce, że ona tam tymi zgrabiałymi, popękanymi od mrozu rękami wyciąga kamienie z ziemi. I dlaczego przy niektórych nazwiskach są litery S.H.?

Wieczorem powrót na blok ósmy, choć teraz wobec zatrudnienia w politycznym oddziale można było już spać w lepszym bloku, aryjskim, a nie żydowskim. Ale na żydowskim ósmym bloku czekała matka...

Każdy wieczorny powrót, to długie zamieranie serca z niepokoju, czy nie stało się co złego, a potem króciutka chwila radości, że się nie stało. I czasami, bardzo rzadko, chwila nadziei, że pomimo wszystko jednak może się nie stanie. Przecież minęła już jedna niedziela i wszyskie więźniarki z ósmego bloku ustawiono przed drzwiami i Rotenführer Taube długo stał przed nimi. Oczami błądził po twarzach, nie wiadomo czym się kierował: Czy, że stara, czy, że młoda, czy że ładna, czy że brzydka? Wskazywał palcem: Ta, tamta, ta tutaj z brzegu... Czasem bywało i tak, że przyglądał się jednej, a w końcu palcem wskazywał drugą. Te, które wskazał palcem, zabierano na blok dwudziesty piąty,—poczekalnia śmierci. Z bloku dwudziestego piątego już tylko jedna droga prowadziła— droga do komory gazowej. To wszystko razem nazywało się „selekcja".

Więc minęła jedna niedziela i nic. Taube na matkę nawet nie spojrzał, nie zwrócił najmniejszej uwagi.

Na następną niedzielę Taube wskazał palcem właśnie matkę.

Zupełnie innym jest nieszczęście kiedy zagraża, a innym kiedy spadnie. Dopóki zagrażało, córka myślała, że jest na wszystko przygotowana i zrezygnowana. Kiedy spadło, szalała. Co robić, żeby ratować matkę? Do kogo się zwrócić jak nie do Anweiserki Pfaffenhofen?

Okazało się, że Anweiserka Pfaffenhofen nic tu nie może poradzić. Może tylko wstawić się do swego szefa „esesmana" Klauzena i ułatwić z nim widzenie.

Więc znowu ten Klauzen? Ale namyślać się nie można ani chwili. Matkę już zabrali na dwudziesty piąty blok...

Jakimi słowami córka błagała tego Klauzena, sama już nie wie, — nie pamięta. Ale pamięta dobrze jaką odpowiedź usłyszała poprzez łomot własnego serca, poprzez szum w uszach. Usłyszała, że Klauzen choćby mógł, to by jej matki nie ratował, bo to nie miałoby ani sensu, ani celu. Po co?, przecież prędzej, czy później matka pójdzie i tak do gazu, należy o niej zapomnieć. Zresztą w gazie śmierć jest dosyć lekka...

Tak powiedział. I takie było drugie spotkanie z Klauzenem.

* * *

Czy o tym Klauzenie będzie jeszcze dalej? —

— Nie, nie. — Zeznająca wygląda jakby powracała z daleka.

— No, to musimy teraz zapisać to wszystko — decyduje prokurator. Maszyna zaczyna znowu stukać.

My wszyscy czujemy się, jak wyrwani ze złego, męczącego snu. Przywróceni rzeczywistości. Patrzymy teraz, jak za oknem połyskliwie chyboczą się małe liście na gałązkach poruszanych słonecznym wiatrem. Z niejakim zdziwieniem słuchamy poprzez stuk maszyny jak za żelaznymi sztachetami dziedzińca ulica wykrzykuje wciąż jednakowo głosami przekupniów.

* * *

Klauzen? My jednak tego Klauzena nie widzimy. Jest bez twarzy, jest jak symbol niepojętej grozy. Ale oto obok niego wyrasta już ten jakiś Taube, zupełnie cielesny, a jeszcze mniej od tamtego zrozumiały. Rotenführer Taube. Młody, niemający chyba nawet dwudziestu lat, z pejczem w ręku, z obrzydliwą twarzą zbira i okrutnika, staje nad płaczącą:

— Was weinst du blöde Kuh?

Wracamy do tamtych spraw i akurat w to miejsce, z którego wyrwał nas głos prokuratora. Więc tak: matka jest na dwudziestym piątym bloku, a córka musi wpisywać swoje litanie nazwisk na politycznym oddziale.

Pisze i płacze. Łzy przesłaniają jej litery. Przesłaniają też Taubego. Nie zdaje sobie w tej chwili sprawy z tego, że to właśnie Taube jest Blockführerem na dwudziestym piątym bloku, i że od niego wszystko zależy.

— Was weinst du blöde Kuh? — Taube jest drobny i wychudły jak gruźlik, uderza się pejczem po cholewie. A dowiedziawszy się, o co chodzi, zaczyna się śmiać, grozi pejczem.

— To ty o takie głupstwo płaczesz? Jak cię porządnie zdzielę tą gumą, to będziesz miała przynajmniej o co...

Córka przestaje płakać. Podnosi głowę. Nowa siła w nią wstępuje.

— A pan rozumie co to znaczy „matka"?

Teraz robi się coś dziwnego, coś niepojętego. Zbój przestaje się śmiać, przestaje nawet bawić się pejczem. Przez chwilę milczy, jakby się namyślał, czy coś sobie przypominał. Potem pyta o numer matki, wychodzi. Ale powraca, zanim zdążyło opaść straszliwe wzburzenie córki. Powraca ze stałą przepustką dla niej na dwudziesty piąty blok. Z zapewnieniem, że matka nie pójdzie z transportem do gazu. Że zostanie na dwudziestym piątym bloku, jako Stubendienst.

A więc matka jest uratowana! Oddychamy wszyscy z ulgą. Teraz dopiero okazuje się, jak bardzo pogrążyliśmy się w tamten czas. Okazuje się że prokurator już od dawna nie przerywa zeznań, żeby je streszczać do protokółu, że maszynistka już od dawna nie stuka na maszynie. Przeżywamy wszyscy tamtą sprawę. A teraz okazuje się również, że za oknami inaczej chylą się w wiosennym słońcu czuby drzew, że inaczej szumi ulica... Matka jest uratowana!

(Przywykliśmy już do zeznań oświęcimskich. Operujemy nazwiskami setek tysięcy zamordowanych matek, ale ta właśnie, ta matka nie pójdzie do gazu! Jest nam tak, jakbyśmy dzielili coś z tryumfu córki, która jednak zdołała uratować matkę, od śmierci.) I teraz chodzi już tylko o to, żeby czym prędzej iść na dwudziesty piąty blok, czym prędzej powiadomić matkę. Bo może ona wcale nie wie o tym, że jest uratowana?

* * *

Blok dwudziesty piąty składa się z dwóch baraków, otoczonych murem. Tak odcięty od reszty obozu, niedostępny jest jak twierdza. To nic, bo przepustka Taubego otwiera bramę do twierdzy i nawet blokowa uprzedzona jest o przyjściu córki. To także nic, nie znaczy, że podwórze dwudziestego piątego bloku zawalone jest trupami kobiet. To tylko dlatego, że z całego obozu znoszą tutaj trupy, żeby je stąd wywieźć do krematorium.

Nie należy się tym przejmować. Również tym nie należy się niepokoić, że matka gdzieś się podziała i tak długo nie nadchodzi. Szukają jej i nie mogą znaleźć. Tak, to czekanie jednak trochę za długo trwa.

W pewnej chwili blokowa prowadzi przez podwórze jakąś staruszkę. Staruszka jest niechętna i oporna. Nie chce iść. Czyby to miała być matka? Nie, to niemożliwe. Czyż człowiek może się tak zmienić przez dwie doby?

Widocznie może, jeśli przez te dwie doby przeżywa śmierć. Matka nie wierzy w to, że żyje, nie wierzy również, że widzi przed sobą córkę. Wcale nie chce z nią rozmawiać, w ogóle nic nie chce.

Powoli, cierpliwie nieskończoną ilość razy trzeba jej tłumaczyć, że stał się cud, że jest wyłączona z transportu, że żyje, że będzie żyła, że będzie pracowała tu jako posługaczka, a córka będzie ją odwiedzała co dzień, co dzień...

Cud dalej działa. Powoli, stopniowo wygładza się, przytomnieje, odnajduje się niejako dobra znajoma twarz matki. Zmienia się w oczach, jak na filmie. Po prostu na wpół obłąkana staruszka robi się dawną matką. Już rozmawiają po dawnemu. Już razem układają sobie, jak nawet na dwudziestym piątym bloku można ułożyć życie. Bo córka będzie codziennie odwiedzała matkę, a matka codziennie będzie czekała na córkę i tak sobie to czekanie zorganizuje, żeby dzień prędko minął i cały się tym czekaniem wypełnił. Starają się nie patrzeć, starają się nie widzieć tego podwórza zawalonego trupami. Skoro dzieją się takie cuda, jak z tym Taubem, skoro nawet taki Taube mógł się zmienić, to najwidoczniej wszystko jeszcze może się zmienić...

Coś mi przyszło do głowy, żeby właśnie w tej chwili spytać o Taubego, czy ta zmiana była w nim istotna? czy na długo...

Ponure, skupione spojrzenie. Bezradne rozłożenie rąk — wie pani, ja w końcu sama nie wiem czy on się zmienił, czy nie... To jest oczywiste że coś się w nim poruszyło skoro to wszystko zrobił. Może jakieś wspomnienie, czy coś... Ale właściwie to ja go zupełnie nie rozumiem... Przecież już zaraz w tydzień potem, zaraz przy następnej selekcji moja matka znowu była przeznaczona do transportu, do gazu!

(Milczymy wszyscy. Słyszeliśmy już różne zeznania, ale w tym wypadku jesteśmy jednak zaskoczeni. Bo cóż znaczyła tamta scena, jak z filmu? Czy już tamte jakieś wspomnienie, tamte poruszenie przestało działać?) Więc jakże się zachował za drugim razem, po tygodniu?

Niby się zgodził, ale niechętnie. Czuło się, że ma tego dość, sprzykrzyło mu się, słuchał od niechcenia, właściwie wcale nie słuchał, machnął ręką na odczepne, coś mruknął; no, to niech zostanie.

— Jak to; niech zostanie?

— Tak powiedział: Sie kann bleiben. Ale kiedy w czwartym tygodniu była znowu selekcja, ledwie zdążyłam przybiec na dwudziesty piąty blok, patrzę, coś strasznego się dzieje, krzyki, ludzie biegają, stoi auto. Moja matka już w samochodzie, wciśnięta byle jak, razem z trupami, chorymi, z półżywymi...

Znowu robi się chwila milczenia. Czy matka spodziewała się jeszcze że i tym razem córka w ostatniej chwili... a może już tylko chciała żeby prędzej się skończyło? Ach nie, o tym przecież nie można już wcale rozmyślać!

I choć nikt z nas nie był na dwudziestym piątym bloku i nie widział tego podwórza, teraz za to widzimy je wszyscy: Ruch, bieganina, wrzaski blokowych, jęki przerażonych, bezsilnych ze strachu, gwałtem wleczonych kobiet. Taube, nasz Taube, sam stoi przy samochodzie. Wrzeszczy, komenderuje. Każe ciskać je na samochód, byle jak. Sam wrzuca.

W milczeniu patrzymy na córkę. Nie śmiemy pytać. No i co, no i jak, w jaki sposób?

— Sama nie wiem, nie umiem powiedzić, jak potrafiłam to zrobić! Jakby już z tamtego świata... Tego już wcale nie można sobie wyobrazić to było wszystko w strasznym wrzasku i w strasznym pośpiechu... Auto odjechało. Matka została.

I jakby razem z piekielnym zgiełkiem tego auta odjeżdżającego w śmierć, pokój wstępuje w naszą zeznającą, kamienny, niedobry jakiś spokój. Niegłośno, prawie martwo opowiada dalej, że choć udało się po raz trzeci, to jasnym było, że ten stan rzeczy nie da się długo utrzymać. Istotnie ledwie się piąty tydzień skończył, znowu selekcja, znowu transport. Już wtedy było wiadomo, co znaczą przy nazwiskach litery S.H.: Sonder Handlung. Więc matka wychodzi raz rano na podwórze na spotkanie córki, spokojna, zrezygnowana: — już tym razem nie uratujesz mnie, moje dziecko. Do trzech razy sztuka.

Tak powiedziała: do trzech razy sztuka. Jakby w jakiejś bajce dla dzieci, czy co. Przyszła blokowa, pokiwała głową: — tak, tak, tym razem już się nie uda.

Nie udało się. Taube słuchał znudzony, wezwał matkę — also du bleibst, du Alte — powiedział, że niby to nie pójdzie do gazu. I od razu wyprawił córkę, żeby wracała do swojego bloku. A wieczorem posługaczka z dwudziestego piątego bloku przyszła wezwać ją, żeby zabrała rzeczy, które tam zostały po matce zabranej z transportem, zagazowanej i spalonej tego samego ranka. Przyniosła matczyne okulary, matka prosiła żeby je oddać córce na pamiątkę.

* * *

Robi się zupełnie cicho, zeznająca zaplata piękne palce o obmanicurowanych paznokciach i milczy. Wygląda niby tak samo, jak na początku, młoda i silna, o szlachetnym wyglądzie, dobrze ubrana, poważna, modnie uczesana, ale w oczach i całej spokojnej postaci jest w niej teraz coś takiego jakby była zupełnie pusta wewnątrz. My również czujemy się jakby puści i pogrążeni w pustce. Dziwne zmęczenie ciąży nad nami wszystkimi, nad całym tym urzędowym sztywnym pokojem z jakby niepotrzebną wiosną za oknami.

Jeszcze jedno ostatnie pytanie: jak było z tym odbiorem rzeczy na dwudziestym piątym bloku, i co potem z tym Taubem?

Powoli, z wysiłkiem maszynistka wystukuje na maszynie dalsze streszczone zeznania.

„Postępowania Taubego zupełnie nie rozumiałam. Był to sadysta, nie znający żadnych uczuć ludzkich. Szczególną brutalnością odznaczał się w wybieraniu kobiet z poszczególnych bloków na blok dwudziesty piąty i w ładowaniu je na auta... Nieraz po kilka dni nie pozwalał więźniarkom dawać wody, ani jedzenia, bił je bez miłosierdzia, bez żadnego powodu i gdzie popadło. Gdy ładowano więźniarki na auta by je przewieźć do komory gazowej, kazał wrzucać je, jak pakunki i sam osobiście to robił...

Na własne oczy widziałam, że po każdym transporcie kobiet wysyłanych do gazu, podwórze bloku dwudziestego piątego wyglądało strasznie. Było ono całe zalane krwią, którą musiało zmywać specjalne „komando”, tak zwane „Reinigungskommando”. Gdy przychodziłam na ten blok, słyszałam straszliwe krzyki więźniarek, wzywających pomocy i wody. Krzyki te słychać było na całym obozie. Na bloku tym więcej nie byłam, a nawet nie zgłosiłam się po odbiór rzeczy, które matka tam zostawiła. Moja matka usiłowała pomagać i za to niejednokrotnie była bita przez inne „Stubediensty...”

* * *

Więc jeszcze i to. Znowu milczymy. Myślimy o jednym. A zeznająca nagle obejmuje rękami głowę. Jej ładne puste oczy napełniają się taką grozą, że mimo woli odwracamy od niej wzrok. Bo cóż to ona mówi, jakby sama do siebie? Że Klauzen miał rację. Że najwięcej

teraz sobie wyrzuca właśnie to, jak mogła ratować matkę od śmierci przez te pięć tygodni.

— A tych okularów, to też już nie mam, dodaje po chwili — ukradli mi...

* * *

Na tym protokół przerwano do dnia 2-go maja 1945 r. do godziny 9-tej rano.

RACHELA AUERBACH

O PRZYJACIÓŁCE-POLCE I O POLSKICH PRZYJACIOŁACH

W Łodzi przebywa obecnie polska literatka i psycholog, p. Janina Bukolska.

Pani Bukolska, wśród wielu żydowskich „aryjczyków" tak popularna „pani Janina z Miodowej" jest jedną z najbardziej świetlanych postaci polskich, które my, Żydzi, napotkaliśmy na tragicznej swej drodze. Jedną z tych jednostek, które z największym poświęceniem i narażeniem własnej egzystencji pomagały nam dźwigać nasz los. Pomagały walczyć i ratować to, co inni ludzie, tępi, podli i okrutni niszczyli.

Kancelaria tłumacza przysięgłego, którą prowadziła Pani Janina w sąsiedztwie Hipoteki funkcjonowała na zewnątrz jak każde inne biuro tego rodzaju. Tłumaczono tu dokumenty polskie na niemiecki i niemieckie na polski, pisano wszelkiego rodzaju prośby i podania do władz. Jak we wszelkich biurach znajdowała się i tu na stołach i półkach, w szufladach i szafach, niezliczona ilość papierów. Biada by jednak była temu zakładowi, gdyby jaki agent Gestapo zechciał dokładniej zajrzeć między te rozmaite metryki, świadectwa szkolne i inne „oryginalne" i „nie oryginalne" dokumenty, które się tu wałęsały na każdym kroku. Oko by mu zbielało.

W gruncie rzeczy, kancelaria Pani Janiny była czymś w rodzaju biura do zamawiania „aryjskich papierów", do poszukiwania mieszkań, do rozdziału pieniędzy, płynących z organizacyj pomocy. Tędy szły kontakty i korespondencja z zakonspirowanymi działaczami żydowskimi, z Żydami w obozach oraz innych miastach. Tutaj niektórzy łącznicy dostawali instrukcje i zdawali raporty ze swych wypraw. Nawet materiały dla żydowskiego archiwum po stronie „aryjskiej" też przechodziły przez ręce pani Janiny. Na ten cel urządziła sobie prowizoryczną skrytkę w wyścielanym oparciu starej kanapki, na której siadywali klienci. Ma się rozumieć, że pierwszą czytelniczką i krytykiem prac, napisanych po stronie „aryjskiej" była też pani Janina.

Błogosławieństwo spływało na wszystko, czego się dotknęła.

Mam tu taką „poradnię" — mawiała pani Janina do poleconego jej ekstra nowego klienta, mrugnięciem wskazując swoją kancelarię i robiąc przy tym zabawnie tajemniczą minę, darząc człowieka uśmiechem swej pogodnej, mądrej, dobrocią promieniejącej twarzy, która posiadała moc odpędzania szarych myśli od Żydów. Uśmiechem łaskawego i dostojnego oblicza osobistości o nieprzeciętnym umyśle i nieprzeciętnym życiu uczuciowym.

Dołki pojawiały się na jej policzkach, charakterystyczny śmiech wstrząsał jej barkami, całą pochyloną nad maszyną wysoką i szeroką jej postacią, gdy napomknęła czasem o tych „kawałach", które dzień w dzień płatała Szwabom w swoim biurze.

Nie zawsze oczywiście wszystko szło tak z płatka, jak się o tym teraz opowiada. Nie raz jeden bywalcy biura przy Miodowej przeżywali okresy

strasznego naprężenia. Ciężkie dni i ciężkie noce. Tygodniami całymi pani Janina i jej mąż sypiali co noc pod innym adresem, gdy zachodziło podejrzenie, że ktoś już jest na tropie jej „kawałów". Na szczęście aż do końca to najgorsze się nie stało. Ruchy odwrotowe Niemców w lipcu ub. roku, a następnie wybuch powstania powstrzymały proces rozwojowy szantażu, prowadzonego przez pewnego osobnika, na wpół prowokatora, który zaczął już był pisywać do pani Janiny anonimowe listy w intencjach wymuszenia. Z powodu rozwoju wypadków, nie zdążył jednak zrealizować swych zamysłów.

Także żydowscy „klienci" pani Janiny wyszli na ogół obronną ręką z wszystkich niebezpieczeństw, jakkolwiek tragicznych wypadków niestety nie brakło. „Mam szczęśliwą rękę", mawiała z dumnym uśmiechem — zawsze z uśmiechem — stukając palcem w spód biurka aby słów tych nie urzec.

Pozyskanie pani Janiny dla dzieła niesienia pomocy Żydom mamy do zawdzięczenia małżeństwu Adolfowi i Basi Bermanom, którzy znali ją sprzed wojny i po przejściu swoim w 1942 r. do polskiej dzielnicy, między innymi przedstawicielami świata intelektualnego, także i ją zdołali pozyskać dla tworzącej się organizacji pomocy Żydom, przebywającym po t.zw. „aryjskiej" stronie. Z czasem pomoc pani Janiny urosła do znaczenia jednego z najważniejszych filarów „podwójnej konspiracji", jak wówczas nazywano społeczną i polityczną działalność żydowską po stronie „aryjskiej". Podwójną w sensie *uprawiania działalności przeciwko Niemcom* i w sensie *życia jako takiego*, przebywania jako Żyd na powierzchni ziemi.

Małżeństwo Bermanowie — ta ponad wszelkie uznanie dzielna i zasłużona para inicjatorów, organizatorów i przewódców żydowskiego ruchu podziemnego po stronie polskiej, znalazło w pani Janinie jedną z głównych osób zaufanych w swej pracy. Jej powierzano najtajniejsze sekrety, jej przekazywano nazwiska i adresy na wypadek, gdyby — co nie daj Boże, i t.d...

Kancelarię tłumacza przysięgłego przy ul. Miodowej nazywano żartobliwie „sztabem Basi". Tutaj opracowywane były wytyczne skomplikowanej strategii i jeszcze bardziej skomplikowanej taktyki walki Żydów o życie, główne zasady przetrudnej żydowsko-aryjskiej techniki życiowej. Stąd kierowane były najzaciętsze batalie w obronie wiecznie przez wroga atakowanych pozycji żydowskich. Ze szczególną zawziętością broniono zwłaszcza niezliczonych bastionów pozostałego przy życiu dziecka żydowskiego.

Nie było takiego dnia, nawet w okresie najgroźniejszych łapanek lub egzekucji ulicznych, by te dwie panie Basia Berman i Janina Bukolska z sobą się nie widziały. O ile na Miodowej grunt był cokolwiek za gorący, wyznaczały sobie randki w cukierence, czy jakiej innej melinie i tak wysiadywały z pozornie beztroską miną dwu kumoszek warszawskich, racując na temat wiecznie tych samych żydowskich kłopotów.

Widzę je obie we wspomnieniu, jak je widywałam tyle razy, rok lub dwa lata temu, nad szklanczyną jakiejś pseudo-kawy lub pseudo-herbaty, pogrążone po uszy w swoich „interesach". Tu się komuś „spaliło" mieszkanie, tu trzeba jakiejś osobie „przerobić osobowość", a tu jakiejś kobiecie ze „złym wyglądem" zachciało się rodzić na „mecie", i trzeba zawczasu dla niej znaleźć „bezpieczną" akuszerkę oraz naszykować na ten cel górę pieniędzy.

Pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy.

Jedna z nich wysoka, korpulentna, czarno ubrana, starsza pani, wyglądająca jak na wpół po cywilnemu przebrana ksieni zakonna z innego stulecia, druga „paniusia" nerwowa, prędka, „zrobiona" w stylu staropanieńskim i wystrojona „od uroków" w wieczystą żałobę. O błękitnych, spoglądających po katolicku, ale niestety po żydowsku w migdał wykrojonych oczach i o profilu, przemawiającym jednoznacznym językiem. Dość jednoznacznym aby spowodować w stosownym momencie zgubę obu pań.

W dodatku zaś mówiły z sobą o takich sprawach i podawały sobie nawzajem takie przedmioty i dokumenty ukryte pod zamaskowaniem jakichś wiktuałów za podwójnym dnem swoich babskich koszyków na zakupy, że za każdy z nich należałoby je w myśl jurysdykcji Franka i Himmlera zaraz na miejscu z dziesięć razy powiesić lub zastrzelić.

Widocznie jednak nad spotkaniami ich czuwały błogosławieństwa setek a setek ukrytych Żydów, których cała egzystencja zawisła od odwagi, przytomności umysłu oraz rozsądku tych dwu kobiet. I tak pełniły dzieło swoje bez przeszkód aż od końca.

Pani Janina Bukolska, jakkolwiek jeszcze przebywa wśród nas, stanowi istną żywą legendę dla wszystkich kombatantów „strony aryjskiej" w Warszawie i naprawdę posiada wszelkie cechy przepięknej legendarnej postaci. Ona sama jednak nie chce jeszcze być legendą i jako osoba chłonnego i ciekawego umysłu, zetknąwszy się w latach wojny tak blisko z Żydami, zainteresowała się żydowską kulturą. Rozumie już nieźle po żydowsku i uczy się w wolnych chwilach żydowskiego, aby móc kiedyś czytać w oryginale i tłumaczyć na język polski najcelniejsze utwory literatury żydowskiej. Jednym słowem, pozyskaliśmy w pani Bukolskiej przyjaciela najwyższej jakości i wartości.

Nie łudzę się co do tego, że ujawnienie jej iście humanitarnego, z poczucia braterstwa wszystkich ludzi i ludów dobrej woli wyrosłego, przyjaznego stosunku do Żydów przysporzy pani Janinie nie jednego wroga wśród przerzedzających się jeszcze zanadto szeregów antysemitów polskich. Tylko kołtun i człowiek tępy nie zrozumie jednak, że osobistość tego rodzaju co pani Janina, lub inne szlachetne jednostki polskie, które pomagały Żydom, tysiąckroć więcej zdziałają dla dobrego imienia Polski i Polaków w międzynarodowej opinii kulturalnego świata, aniżeli tysiące rzekomych patriotów, którzy ponurą swą mizantropią w stosunku do żydowskich obywateli tej samej rodzonej ziemi polskiej, ponurą swą teorią i jeszcze bardziej ponurą praktyką zatruwali atmosferę polityczną i moralną Polski w latach wspólnego męczeństwa, pod walcem straszliwej przemocy, a teraz usiłują robić to samo w Polsce odradzającej się i wyzwolonej. Zbrodniczym czynem lub moralną jego aprobatą, szeptaną propagandą antysemicko-faszystowską szkodzą Polsce na wewnątrz i hańbią na zewnątrz.

Pisząc artykuł niniejszy mam poczucie tej wielkiej satysfakcji, jaką da on wszystkim żydowskim klientom pani Janiny, którzy kochają i kochać ją będą z całego serca do końca swoich dni. Będzie on może także pocieszeniem i pokrzepieniem dla innych Żydów z Warszawy i spoza Warszawy, z których niejeden zna również swoją Panią Janinę czy Pana Jana, swojego pana Kazimieza, panią Marysię, czy panią Zofię, która była dlań ostoją w najstraszniejszym czasie i która uratowała w nim prócz życia także wiarę w człowieka.

Działalność pani Janiny Bukolskiej nie da się wyczerpać w artykule dziennikarskim. O niej i o innych szlachetnych Polakach należałoby napisać nie parę artykułów, ale książkę, obejmującą portrety Polaków, którzy podczas okupacji stanęli na wielkiej wyżynie moralnej i poświęceniem swym w ratowaniu Żydów ratowali też i rehabilitowali honor narodu polskiego. Częściowo przynajmniej pocieszali nas w tych naszych nieszczęściach i stratach, które ponieśliśmy w dużej mierze z winy polskich antysemitów i zdeprawowanych wyrzutków społeczeństwa polskiego.

Książka taka zostanie kiedyś na pewno napisana.

Galeria Polaków, którzy w najgroźniejszych warunkach stawiali wszystko na jedną kartę i dopomagali w ratowaniu Żydów obejmuje przedstawicieli wszelkich warstw społecznych. Profesorów uniwersytetu i robotników, tramwajarzy i księży, żony wyższych oficerów Armii Polskiej i przekupki z bazarów, kupców i chłopów. Chłopów, z których niejednemu za jego ludzkość, za kromkę chleba lub łyk mleka, których nie chciał odmówić

ściganemu jak tropiony zwierz, nieszczęśliwemu, bezdomnemu Żydowi, za nocleg udzielony Żydowi w stodole — całą rodzinę wymordowali, cały dobytek z dymem puścili niemieccy nieludzie.

Ile historii i anegdot trzeba będzie kiedyś opowiedzieć, np. o pewnej starej „babci", zieleniarce z kolonii Staszica, która nie babcią a matką rodzoną była dla całej gromadki młodych chłopców żydowskich. Jej malutki sklepik z warzywami był dla nich główną „bazą operacyjną", miejscem posiłków, spotkań, wymiany zleceń — wszystko zaś pod nosem parkującej na przeciwko autokolumny Szkopów.

Albo o takim handlarzu owoców z którejś tam przecznicy ul. Puławskiej, który cały stragan z jabłkami naraził na rozgrabienie, a nie dał „złapać na śmierć" grasującego w tej okolicy z „hulajnogą" bezdomnego dziecka żydowskiego, wielkiego zucha, autora pamiętników. Ten chłopiec dzięki niemu ocalał i po dziś dzień żyje.

A co napisać (czy nie wiersz?) o tym bosym pastuszku wsiowym, który przebiegł jednym tchem kilka kilometrów aby ostrzec trzystu „Żydów leśnych" przed szykującą się na nich obławą?

Albo o fakcie na wskroś niepospolitego humanitaryzmu pewnego inżyniera polskiego, który chował u siebie w mieszkaniu, w kryjówce, grupę kilkunastu Żydów, utrzymując ich własnym kosztem aż do chwili nawiązania kontaktu z Komitetem i wynosił po nich noc w noc, w tajemnicy przed innymi mieszkańcami tego domu, kubły z nieczystościami.

I jeszcze i jeszcze wiele faktów o wielu ludziach.

Wiemy, oczywiście, także o innego rodzaju faktach, o wielu bardzo wielu, może liczniejszych od tamtych — faktach straszliwych. O faktach wyrosłych z hitlerowskiego jadu, z nienawiści, z chciwości, ze zbrodniczych instynktów, z podłej agitacji faszystowsko-antysemickiej.

Ale na ich tle tym większym blaskiem jaśnieją czyny tych ludzi polskich, którzy, żyjąc w tych samych warunkach, poddani tym samym co tamci wpływom, przemogli tchórzostwo i egoizm, nie dali się zatruć jadem i właśnie w czasie tak potwornej podłości i bezprawia wznieśli się na wyżyny wszechludzkiej solidarności i braterstwa wszystkich narodów.

ZOFIA KOSSAK

LITERATURA W KRAJU

Czasy niemieckiej okupacji były czasem zakneblowanych ust, — przymusowego milczenia. Wszelka twórczość została zahamowana, zabita. Jedyny zewnętrzny przejaw umysłowego życia narodu stanowiła tajna prasa, — ubogi, skąpy chleb, kryjomo rozdawany zgłodniałym. Szafowanie tym chlebem było niebezpieczne w najwyższym stopniu. Śmierć krążyła wokół każdego, kto ze słowem pisanym miał styczność. Śmierć czuwała nad głową pisarza, kreślącego pośpiesznie słowa na kartkach, — zecera składającego czcionki, drukarza odbijającego strony na ręcznej maszynie, — korektorek, co gotowe egzemplarze odnosiły na punkt rozdzielczy, a stamtąd na miasto. Krocząca za każdą z powyższych osób śmierć zatrzymywała się wreszcie przy czytelniku, czytanie było bowiem równą zbrodnią, jak pisanie lub drukowanie. Posiadanie tomiku wydanych tajnie wierszy karano śmiercią, podobnie jak posiadanie broni.

Co prawda, — to była broń.

Świadomość niebezpieczeństwa nakazywała szacunek dla słowa i oszczędne nim szafowanie. Należało się streszczać, streszczać, ograniczać treść do spraw zasadniczych, najważniejszych. Należało usuwać zeń wszystko, co nie było niezbędne dla Sprawy. Normalnym zabiegiem pisarza po ukończeniu krótkiej notatki było zmniejszanie jej o połowę, skreślanie,

aż pozostawał sam szkielet, nagie rusztowanie odarte z wszelkiej barwy słowa i ozdoby. Nierzadko wypowiedzi te były tak niedostateczne, że przypominały więźniów, wyprowadzanych na śmierć z ustami zalepionymi gipsem lub plastrem, by nie mogli wołać: „Jeszcze Polska nie zginęła!” i oczami tylko wyrażających dumę i pewność, że oni giną, ale Polska będzie żyła. Telegraficznie skrócane tajne wypowiedzi polskich pisarzy pod okupacją niemiecką przypominały ów hardy błysk oka, co zastępował nie mogący się wydostać głos.

Charakterystycznym dokumentem tego czasu była nie tylko tajna gazetka, lecz gryps, list kryjomo przesyłany do więzienia, na strzępie bibułki pisany mikroskopijnymi literami, kreślonymi tuszem lub nie rozpływającym się od wilgoci ołówkiem. Gryps przenoszono w ustach, w opłatku jako lekarstwo, — zapieczony w chlebie lub ukryty w kiszce odchodowej. Objętość grypsu musiała być minimalna, a wieleż rzeczy winien był zawierać! Stanowił równocześnie instrukcję, co i jak zeznawać, — informację o załamaniu się lub oporze towarzyszy z tej samej „wsypy”, — dawał wiadomości o losie rodziny uwięzionego, wiadomości polityczne ogólne, a na koniec i przede wszystkim dodawał ducha, podtrzymywał męstwo. Był wiatykiem, błogosławieństwem i zastrzykiem woli. Tyle zasadniczych rzeczy na skrawku bibułki! W grypsach kondensacja treści dosięgała szczytu. Jedno słowo musiało wystarczyć za sto.

W Polsce konspiracyjnej pisano codziennie tysiące grypsów, — wydawano setki gazetek, — a że stan ten trwał pięć lat z okładem, autorzy pozostający w Kraju zapomnieli pisać inaczej. Stali się chropowaci, skąpi, prymitywni. Odwykli od harmonijnego szyku zdań, precyzyjnego dobierania słów, plastycznej wizji. Odpadła od nich technika.

Równocześnie nigdy życie nie stawiało przed literaturą równie palących i trudnych problemów, jak w tym okresie. Życie konspiracyjne groziło każdej chwili śmiercią, lecz za cenę drobnej pozornie podłostki można było uzyskać względne bezpieczeństwo. Jakże więc ważna, a zarazem trudna do przeprowadzenia była granica, od której rozumny instykt samozachowawczy stawał się oportunistycznym tchórzostwem! Problem drugi: wciągać do konspiracji młodzież, tę najcenniejszą część społeczeństwa, lub nie? Brać właśnie dzieci, jako wspólników w śmiertelnie niebezpiecznej robocie? Brać, — to znaczy stracić je, — usuwać i chronić — to okradać je z wielkości i piękna epoki. Na ten temat między rodzicami toczyły się na łamach tajnej prasy zawzięte spory. Jedni wołali: nie mamy prawa! To zbrodnia! — Inni odpowiadali, że orły tylko z orląt się wywodzą i chowają się w orlim, a nie wronim gnieździe.

(Zresztą rodzice swoje, a dzieci swoje. Niedbała o wynik sporu, cała młodzież, od dziesięcioletnich uczniaków poczynając, należała do konspiracji.) Problem trzeci: czy katolikowi wolno sobie odbierać życie w więzieniu w obawie, by na torturach nie wydać towarzyszy? Religia chrześcijańska potępia samobójstwo zawsze, w każdych okolicznościach, — lecz tu obowiązek żołnierski i wierność zdawały się nakazywać użycie trucizny. I zdarzało się, że więzień wielokrotnie torturowany słał gryps za grypsem błagając: nie wytrzymam dłużej! Przyślijcie „cukierek”! Co było wtedy robić? Czy pisać: „Wytrzymasz! Modlimy się za ciebie. Wytrzymasz!” Czy przystać i cjanek posłać?

Problemy piętrzą się coraz straszliwsze. Na moście Kierbedzia mężczyzna Polak daje jałmużnę wychudłemu głodomorowi żydziaczkowi, zbiegłemu z ghetta. Spostrzega to esesman. Pod grozą rewolweru zmusza mężczyznę, aby wrzucił do wody dziecko. Jeżeli tego nie wykona, zostanie natychmiast zastrzelony. Co do dziecka, los jego tak, czy tak, jest przesądzony. Zginie. Polak zrazu odmawia, wybiera śmierć, na koniec załamuje się, topi dziecko, wraca do domu i nazajutrz odbiera sobie życie. Nie może żyć ze wspomnieniem chudych rączyn, czepiających się rozpaczliwie poręczy. Nic go nie usprawiedliwia: popełnił morderstwo.

Ależ sam miał dzieci, a chłopiec nie byłby uratowany, mimo jego oporu. Jest mordercą, czy nie?

Czyż dziwna, że wobec podobnych zagadnień potężne zazwyczaj motory życia — żądza miłosna, żądza bogactwa — schodziły na drugi plan, stawały się mało ważne? Gdy jeden z wybitnych działaczy konspiracyjnych, wydobyty z więzienia przez towarzyszy cudem przemyślności i odwagi, udał się do kochanej, zastał tam innego, zastrzelił go, zdradził strzałem swą obecność, zginął ujęty przez policję, — społeczeństwo potępiło jednogłośnie jego pamięć. Mówiono o nim z pogardą i lekceważeniem. Jak to? Tyle trudu i ryzyka kosztowało uwolnienie go z więzienia, a on to wszystko zmarnował dla baby?!

Co do pieniędzy, nie miały one żadnej wartości. Cieszyli się nimi tylko paskarze.

Literatura polska stała wobec wymienionych poprzednio problemów — milcząca. Pełne grozy myśli każdy przeżywał sam w sobie, nie mając możności wyrzucenia ich na zewnątrz. Ciężar tych myśli nagromadzał się, przytłaczał i na koniec — przez swój nadmiar — pozostawiał pustkę. Niezużyty dynamit wietrzał. Zbyt długie patrzenie w otchłań sprawiało: że przestawało się widzieć jej głębię.

Dlatego zapewne moment, w którym pisarze z Kraju mogli nareszcie zabrać głos, — nie zaznaczył się niczym olśniewającym. Zatracone piękno formy nie da się odzyskać od razu. Poprzednie przymusowe ubóstwo słowa piszący jęli wynagradzać sobie wielosłowem. A szkoda. Wszakże z owej kondensacji można było wyciągnąć piękne zdobycze.

To dotyczy formy. A treść? Jeszcze się nie ujawniła. Jeszcze ów zator wrażeń przeszkadza, hamuje. Nim pękną upusty, pisarze drepczą wokół zewnętrznej strony przeżytych faktów, dają reportarze okropności, lecz nie treść przeżytych lat. Ta się dopiero ujawni.

To wszystko dotyczy pisarza. A jak wygląda czytelnik?

CZYTELNICTWO W KRAJU

Przekora jest jedną z zasadniczych cech natury ludzkiej w ogóle, — polskiej w szczególności. Wystarczyło zabrać książkę, obwarować jej wydawanie śmiertelnym niebezpieczeństwem, — by wątła, nie sięgająca w głąb społeczeństwa warstwa miłośników czytania rozrosła się na cały kraj. Proces ten rozpoczął się bezpośrednio po utracie niepodległości. Książka po wszystkie wieki była mową niemych, trybuną zdławionych, towarzyszką i przyjaciółką ludzi podziemnych. Przeto Polska w chwili, gdy uszła pod ziemię, jęła szukać instynktownie książki. Lecz książki brakło. Biblioteki publiczne zamknięto, w księgarniach Niemcy przeprowadzali niszczenie wszystkiego, co mogło mieszkańców Generalnej Gubernii pobudzić do oporu. Katalog dzieł skazanych na zagładę obejmował parę tysięcy pozycji i zawierał rzeczy nawet tak mało znane, jak „Walka ze szkodnikami w sadzie" lub popularne dzieło o mikrobach zatytułowane „Wrogowie ludzkości". Codziennie ciężarówki naładowane książkami wiozły syntezę kultury polskiej do Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych na przemiał. Ludzie patrzyli na to z uczuciem, jak gdyby wieziono na śmierć drogie im osoby. Zdarzało się, że szofer rozmyślnie brał ostro zakręt i przy zarzuceniu wozu pewna ilość książek spadała na jezdnię. Nim eskortujący Niemcy zdołali przeszkodzić, publiczność już porwała książki, już się z nimi rozbiegła. Księgarnie pozostawały pod ciągłą surową kontrolą, dzieło zakazane łatwiej mogły przemycić „wózki", charakterystyczne dla pierwszych lat wojennych. Na wózku na wierzchu leżały senniki, „Przepowiednie królowej Saby" i pornograficzne wydawnictwa niemieckie, a pod spodem „Ziemia gromadzi prochy" lub „Krzyżacy". Owe książki, za wykrycie których groziła natychmiastowa śmierć kupującemu i sprzedzjącemu, dochodziły fantastycznych cen. Ludzie chodzili w łachmanach i głodni, lecz je kupowali.

Tak było w Generalnym Gubernatorstwie — na ziemiach zachodnich nie istniała książka w ogóle. Ani na wózku, ani w księgarni, ani zabroniona, ani legalna. Wszelkie słowo polskie zostało zduszone. A Kraj bardziej niż kiedykolwiek tego słowa potrzebował. Kraj chciał książki. Książki domagał się chłop po raz pierwszy od stuleci. Książki pożądał robotnik, inteligent, uczeń. Znajdujące się po wsiach niedobitki bibliotek dworskich lub szkolnych bywały „sczytane" do tego stopnia, że kartki przybierały kształt owalny. Brzegi, margines znikły, starte zetknięciem się z tysiącami szorstkich dłoni.

Tajne wydawnictwa nie mogły zaspokoić tego głodu. Były zbyt szczupłe, trudne do kolportażu. Niemniej niektóre uzyskiwały wielką popularność. Konspiracyjni wydawcy robili, co mogli, by zewnętrzny wygląd książki ulegalnić. Znane były zatem w świecie niepodległościowym „Ogródek warzywny", Rozprawa o transporcie węgla do Gdyni, 1-szy tom „Emancypantek". Okładki naśladowały wiernie przedwojenne odnośne publikacje.

Niedobór książek nadrabiano pamięcią. Okupacja była okresem opowiadań, gawęd, relacji, niejednokrotnie bardzo artystycznych. Uczono się na pamięć, zwłaszcza wierszy. Przed wojną tomiki poetyckie, tanie, dostępne każdemu, zalegały półki Mortkowicza, kupowane z rzadka. Nakład ich — wstyd powiedzieć — nie przekraczał często tysiąca egzemplarzy. Poezja stawała się przed wojną przeżytkiem, niepotrzebnym nikomu. Przedziwnie tajemnicze prawa uczyniły, że niewola przywróciła jej wpływ i znaczenie. Ludzie pragnęli wierszy, jak gdyby rytmiczne wypowiadanie bólu przynosiło większą ulgę, niż wypowiadanie go prozą. Szczuplutkie antologie poezji wojennych tajnie wydawanych — raczej strzępy strof, niż strofy same — (Pieśń Niepodległa, — Wiatr wolności, Werble wolności, Słowo prawdziwe i inne) były rozchwytywane, umiane na pamięć, powtarzane bez końca. W obozach, więzieniach przepisywano z pamięci wiersze, stare lub nowe, i odczytywanie ich stanowiło wielką rozrywkę jutrzejszych skazańców. Szczególny entuzjazm wywoływał każdy przerzut literacki z zagranicy. W mig obiegał całą Polskę. „Dywizjon 303" Fiedlera krążył w mikroskopijnych odbitkach fotograficznych. Wszelki „wiersz z Londynu", powtarzany z ust do ust, był w ciągu miesiąca znany w całym kraju.

Ostatni rok okupacji dokończył zniszczenia książki polskiej w Kraju. Spłonęła Warszawa. Z licznych jej księgozbiorów prywatnych i publicznych ocalała jedynie Biblioteka Uniwersytecka. Wszystkie inne nie istnieją. Uwolniona od Niemców Polska stanęła wobec gwałtownego zapotrzebowania książek, a zarazem katastrofalnego ich braku.

Nie ma podręczników, elementarzy, opracowań naukowych niezbędnych dla uniwersytetów. Nie ma książek koniecznych do utworzenia bibliotek miejskich. Nie ma klasyków, ani wieszczów, nie ma Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Żeromskiego. Nie ma nic!

A wszakże rozpoczynający się w Kraju polski ruch wydawniczy nie może ograniczyć się do wydawania podręczników i starej literatury. Pisarze jeszcze oniemiali, jeszcze nie mogący znaleźć prawdziwego wyrazu dla swych przeżyć i doznań — przemówią niebawem. Przemówi młody, nieznany jeszcze narybek. Sypną się książki, dobre książki, które czytać zechce cała Polska, — cały świat. Współczesna, bieżąca literatura wyczerpie sama jedna szczupłe jeszcze możliwości techniczne wydawnicze w Kraju.

Więc cóż? Nadal wieś będzie bez książki, a w szkołach dwa podręczniki wypadną na całą klasę? Nie! Książka musi się znaleźć. Dopomóc w tym winien zbiorowy wysiłek twórczo-techniczno-materialny CAŁEGO narodu. Bo Kraj sam nie podoła. Kraj spodziewa się od rodaków pomocy w problemie książki. Czeka tej pomocy, jak chleba.

Bo książka — to chleb.

SPIS RZECZY

	Str.
JÓZEF WINIEWICZ — *Dokoła nowej granicy polsko-niemieckiej*	1—7
KSAWERY PRUSZYŃSKI — *Ze sztandarami i z bronią*	7—11
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ — *Do żony*	12
ANTONI SŁONIMSKI — *Finał*	12
JULIAN TUWIM — *Kwiaty polskie (fragment)*	13
ZOFIA NAŁKOWSKA — *Ludzie w Oświęcimiu*	14—16
FELIKS TOPOLSKI — *Notatki z ostatnich dni wojny*	17—32
KAROL ESTREICHER — *Zmiany*	33—46
STANISŁAW ILEWICZ — *Oranienburg — Aldernay — Kortenmark*	46—50
HELENA BOGUSZEWSKA — *Do trzech razy...*	50—58
RACHELA AUERBACH — *O przyjaciółce-Polce i o polskich przyjaciołach*	58—61
ZOFIA KOSSAK — *Literatura w Kraju — Czytelnictwo w Kraju*	61—64

3/- Published by „Nowa Polska", 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London, factory. 3/-